


przeznaczona

Część 4 Wampirzych Dzienników

morgan rice



Морган Райс
Przeznaczona
Серия «Wampirzych
Dzienników», книга 4

*http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23756893
Przeznaczona (część 3 Wampirzych Dzienników):
ISBN 9781632913418*

Аннотация

W PRZEZNACZONA (część 4 Wampirzych Dzienników) Caitlin Paine budzi się ze snu i odkrywa, że przeniosła się w przeszłość. Musi uciekać z cmentarza przed zgrają wieśniaków. Schronienie znajduje w wiekowym klasztorze w Asyżu, położonym w okolicy Umbrii, we Włoszech. Tam dowiaduje się o swoim przeznaczeniu i swojej misji: ma odnaleźć ojca i starożytną tarczę, dzięki której ocaleje ludzka rasa.

Jej serce wciąż usycha z tęsknoty za utraconą miłością życia: Calebem. Rozpaczliwie pragnie dowiedzieć się, czy przeżył podróż w przeszłość. Dowiaduje się również, że jej misja wymaga, by udała się do Florencji. Sercowe sprawy każą jej natomiast spojrzeć w stronę Wenecji. I wybiera Wenecję.

Caitlin jest poruszona tym, co tam zastaje. Osiemnastowieczna Wenecja jest osobliwym miejscem, w którym mężczyźni i kobiety noszą wyszukane kostiumy i maski, i bawią się wystawnie. Ku swej wielkiej radości rozpoznaje kilkoro najbliższych przyjaciół i spotyka

się z ciepłym przyjęciem w ich klanie. Z przejściem uczestniczy w Weneckim Balu Maskowym, najważniejszym, rocznym tańcu kostiumowym, gdzie jej nadzieja na odnalezienie Caleba odżywa na nowo.

Jednak nie tylko Caitlin potrafi podróżować w czasie. Wkrótce zjawia się Kyle, zdecydowany wytropić ją i definitywnie pozbawić życia. Sam również cofa się w czasie. Zamierza uratować siostrę zanim będzie za późno.

Kiedy nadchodzi Bal, Caitlin rozpoczyna poszukiwania, jednak nie natrafia na żadne oznaki obecności Caleba. Aż do ostatniego tańca. Tańczy z zamaskowanym mężczyzną, który kradnie jej serce. Jest przekonana, że to Caleb. Kiedy jednak następuje zmiana partnerów w tańcu, znów go traci. Ale czy na pewno?

Wkrótce staje przed wyborem między dwiema miłościami swego życia i odkrywa, że należy uważać, czego się pragnie. Radość z odzyskania ukochanego może wiązać się również z tragedią i złamanym sercem.

W kulminacyjnym, tętniącym wartką akcją momencie, Caitlin jest zmuszona zmierzyć się z prawdziwym złem, starożytnym klanem z Rzymu, najpotężniejszym, jaki kiedykolwiek istniał. Warunkiem przeżycia będzie użycie wszelkich środków będących do jej dyspozycji. Będzie musiała poświęcić o wiele więcej, niż kiedykolwiek, aby ocalić tych, których kocha...

Содержание

ROZDZIAŁ PIERWSZY	15
ROZDZIAŁ DRUGI	28
ROZDZIAŁ TRZECI	34
ROZDZIAŁ CZWARTY	46
ROZDZIAŁ PIĄTY	54
ROZDZIAŁ SZÓSTY	66
Конец ознакомительного фрагмента.	78

Morgan Rice

Przeznaczona (część 3 Wampirzych Dzienników)

Wybrane komentarze Wampirzych Dzienników

– Rice udaje się wciągnąć czytelnika w akcję już od pierwszych stron, wykorzystując genialną narrację wykraczającą daleko poza zwykłe opisy sytuacji... PRZEMIENIONA to dobrze napisana książka, którą bardzo szybko się czyta,

– *Black Lagoon Reviews* (komentarz dotyczący *Przemienionej*)

Idealna opowieść dla młodych czytelników. Morgan Rice zrobiła świetną robotę budując niezwykle ciekawy ciąg zdarzeń... Orzeźwiająca i niepowtarzalna. Skupia się wokół jednej dziewczyny... jednej niezwyklej dziewczyny! Wydarzenia zmieniają się w wyjątkowo szybkim tempie. Łatwo się czyta. Zalecany nadzór rodzicielski.

– *The Romance Reviews* (komentarz dotyczący *Przemienionej*)

Zawładnęła moją uwagę od samego początku i do końca to się nie zmieniło... To historia o zadziwiającej przygodzie, wartkiej i pełnej akcji od samego początku. Nie ma tu

miejsca na nudę.

– *Paranormal Romance Guild* (komentarz dotyczący *Przemienionej*)

Kipi akcją, romansem, przygodą i suspensem. Sięgnij po nią i zakochaj się na nowo.

– *vampirebooksite.com* (komentarz dotyczący *Przemienionej*)

Wspaniała fabuła. To ten rodzaj książki, którą ciężko odłożyć w nocy. Zakończona tak nieoczekiwanym i spektakularnym akcentem, iż będziesz natychmiast chciał kupić drugą część, tylko po to, aby zobaczyć, co będzie dalej.

– *The Dallas Examiner* (komentarz dotyczący *Kochany*)

Rywal ZMIERZCHU oraz PAMIĘTNIKÓW WAMPIRÓW. Nie będziesz mógł oprzeć się chęci czytania do ostatniej strony. Jeśli jesteś miłośnikiem przygody, romansu i wampirów to ta książka jest właśnie dla ciebie!

– *Vampirebooksite.com* (komentarz dotyczący *Przemienionej*)

Morgan Rice udowadnia kolejny już raz, że jest szalenie utalentowaną autorką opowiadań... Jej książki podobają się szerokiemu gronu odbiorców łącznie z młodszymi fanami gatunku fantasy i opowieści o wampirach. Kończy się niespodziewanym akcentem, który pozostawia czytelnika w szoku.

– *The Romance Reviews* (komentarz dotyczący *Kochany*)

O autorce

Morgan Rice jest autorką bestsellerowej serii 11-stu książek o wampirach WAMPIRZE DZIENNIKI (kolejne w przygotowaniu), skierowanej do młodego czytelnika; bestsellerowej serii thrillerów post-apokaliptycznych THE SURVIVAL TRILOGY, złożonej z dwóch książek (kolejne w przygotowaniu) i bestsellerowej serii fantasy KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA, obejmującej trzynaście książek (kolejne w przygotowaniu).

Powieści Morgan są dostępne w wersjach audio i drukowanej, a przekłady książek są dostępne w języku niemieckim, francuskim, włoskim, hiszpańskim, portugalskim, japońskim, chińskim, szwedzkim, holenderskim, tureckim, węgierskim, czeskim i słowackim (w przygotowaniu tłumaczenia w innych językach).

PRZEMIENIONA (Księga 1 cyklu Vampire Journals), ARENA ONE (Księga 1 cyklu Survival Trilogy), WYPRAWA BOHATERÓW (Księga 1 cyklu Krąg Czarnoksiężnika) oraz POWRÓT SMOKÓW (Księga 1 cyklu Kings and Sorcerers) dostępne są nieodpłatnie.

Morgan chętnie czyta wszelkie wiadomości od was. Zachęcamy zatem do kontaktu z nią za pośrednictwem strony www.morganricebooks.com, gdzie będziecie mogli dopisać swój adres do listy emaili, otrzymać bezpłatną wersję książki i

darmowe materiały reklamowe, pobrać bezpłatną aplikację, otrzymać najnowsze, niedostępne gdzie indziej wiadomości, połączyć się poprzez Facebook i Twitter i po prostu pozostać w kontakcie!

Książki autorstwa Morgan Rice

KINGS AND SORCERERS

POWRÓT SMOKÓW (CZEŚĆ #1)

KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA

WYPRAWA BOHATERÓW (CZEŚĆ 1)

MARSZ WŁADCÓW (CZEŚĆ 2)

LOS SMOKÓW (CZEŚĆ 3)

ZE W HONORU (CZEŚĆ 4)

KINGS AND SORCERERS



THE SORCERER'S RING

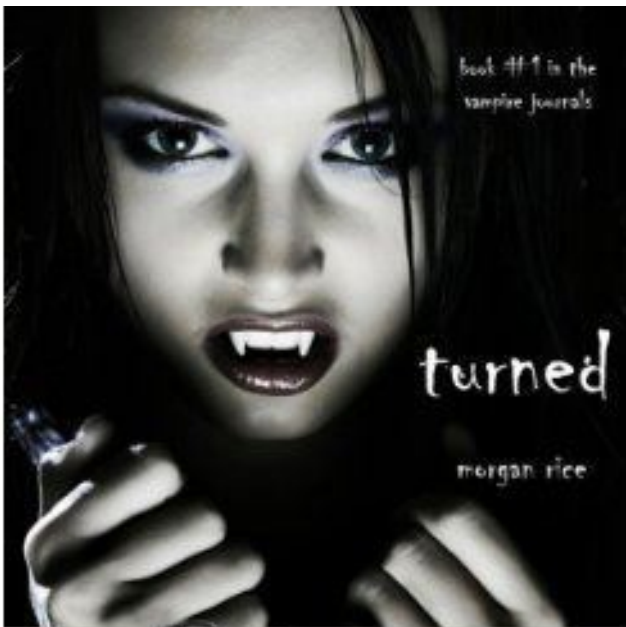


THE SURVIVAL TRILOGY



the vampire journals





**Posłuchaj cyklu Wampirze
Dzienniki w formacie audio!**

Copyright © 2011 Morgan Rice

Wszelkie prawa zastrzeżone. Poza wyjątkami dopuszczonymi

na mocy amerykańskiej ustawy o prawie autorskim z 1976 roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, rozpowszechniana, ani przekazywana w jakiejkolwiek formie lub w jakikolwiek sposób, ani przechowywana w bazie danych lub systemie wyszukiwania informacji bez wcześniejszej zgody autora.

Niniejsza publikacja elektroniczna została dopuszczona do wykorzystania wyłącznie na użytek własny. Nie podlega odsprzedaży ani nie może stanowić przedmiotu darowizny, w którym to przypadku należy zakupić osobny egzemplarz dla każdej kolejnej osoby. Jeśli publikacja została zakupiona na użytek osoby trzeciej, należy zwrócić ją i zakupić własną kopię. Dziękujemy za okazanie szacunku dla ciężkiej pracy autorki publikacji.

Niniejsza praca jest dziełem fikcji. Wszelkie nazwy, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki. Wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

Jacket art ©iStock.com /© lamia-ell

FAKT:

W 2009 roku, na niewielkiej wyspie Lazzaretto Nouvo położonej w obszarze weneckiej laguny, odkryto ciało rzekomego wampira. Było w nienaruszonym stanie i należało do kobiety, która zmarła w wyniku szerzącej się w szesnastym

wieku zarazy. Pochowano ją z cegłą w ustach – zgodnie ze średniowiecznym przesądem, według którego to wampiry stały za wszelkimi plagami typu czarna śmierć.

FAKT:

Osiemnastowieczna Wenecja nie przypominała żadnego innego miejsca na ziemi. Ludność przybywała tłumnie z całego świata, by wziąć udział w pełnych przepychu ucztach i balach, przyodziać się w wyszukane stroje i maski. Spacerowanie po ulicach w kostiumie i masce było bowiem uważane za coś jak najbardziej normalnego. Po raz pierwszy w historii znikły podziały między obiema płciami. Kobiety, które jak dotąd musiały ulegać różnym nakazom, mogły wreszcie przebrać się za mężczyzn i w ten sposób uzyskały dostęp do wszelkich, możliwych do wyobrażenia, miejsc...

– Kochanko moja! moja żono!

Śmierć, co wyszała miód twojego tchnienia,

Wdzięków twych zatrzeć nie zdołała jeszcze

Nie jesteś jeszcze zwyciężoną: karmin,

Ten sztandar wdzięków, nie przestał powiewać

Na twoich licach i bladej swej flagi...–

William Shakespeare, *Romeo i Julia*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Asyż, Umbria (Włochy)

(1790)

Caitlin Paine obudziła się z wolna, całkowicie spowita mrokiem. Spróbowała otworzyć oczy, rozeznąć się w sytuacji, ale nic z tego nie wyszło. Poruszyła rękoma, ramionami – ale i tu nic nie wskórała. Czuła się jak opatulona, pogrążona w czymś o miękkiej konsystencji. Nie mogła pojąć, czym to było. Ciężkie, przygniatające ją do ziemi, z każdą chwilą wydawało się coraz bardziej ją przytłaczać.

Spróbowała nabrać powietrza i zorientowała się, że jej drogi oddechowe były czymś zatkane.

Ulegając panice, próbowała wziąć głęboki oddech przez usta, ale wtedy poczuła, jak coś wypełniło jej gardziel. Poczowała zapach i zdała sobie sprawę, co to było: ziemia. Tkwiła w ziemi, która zakrywała jej twarz, oczy i nos i która wdzierала się przez jej usta. Uświadomiła sobie, dlaczego czuła się przytłoczona. To ziemia ciążyła z każdą sekundą coraz bardziej. Zaczęła dusić ją.

Nie mogąc oddychać, ani cokolwiek zobaczyć, całkowicie spanikowała. Próbowwała poruszać rękoma i nogami, ale one również były unieruchomione ciężarem ziemi. W popłochu zaczęła walczyć ze wszystkich sił i w końcu udało jej się poruszyć odrobinę ręką. Po chwili uniosła obie ręce w górę, powoli, coraz wyżej. W końcu przedostały się przez ziemię. Jej

dłonie napotkały powietrze. W przypiływie nowych sił zaczęła młócić kończynami, rozpaczliwie rozszarpując i zdrapując z siebie przykrywającą ją ziemię.

W końcu usiadła, a dokoła posypała się z niej ziemia. Strzepała przylegający do jej twarzy i powiek brud, wyrzuciła ziemię zalegającą jej usta i nos. Używała obu rąk gorączkowo, aż w końcu pozbyła się ziemi na tyle, by móc zaczerpnąć tchu.

Oddychała gwałtownie, wciągając powietrze wielkimi haustami. Nigdy jeszcze nie była tak wdzięczna za to, że mogła oddychać. Zaczęła kaszleć, nadwyreżając płuca, wypluwać ziemię z ust i nosa.

Zmusiła się, by otworzyć oczy, jednak jej rzęsy wciąż jeszcze były zlepione, więc zdołała tylko rozejrzeć się dokoła. Właśnie zachodziło słońce. Nad jakimś wiejskim obszarem. Leżała zakopana w ziemnym kopcu, na niewielkim, wiejskim cmentarzu. Obejrzała się i dostrzegła zdumione spojrzenia tuzina prostych wieśniaków, ubranych w łachmany i gapiących się na nią w kompletnym szoku. Tuż obok siebie zobaczyła grabarza, muskularnego mężczyznę, którego cała uwaga skupiona była na pracy łopata. Nic jeszcze nie zauważył, nie spojrzał nawet w jej stronę. Nabrał kolejną porcję ziemi i rzucił w Caitlin.

Zanim zdołała zareagować, cała zawartość łopaty wylądowała na jej głowie, ponownie zakrywając jej oczy i nos. Strząsnęła ją z siebie i wyprostowała się w miejscu, poruszając nogami, starając się ze wszystkich sił wydostać spod ciężkiej, świeżo usypanej ziemi.

W końcu i grabarz ją zauważył. Miał już rzucić kolejną porcję ziemi, kiedy nagle zobaczył ją i odskoczył w tył. Łopata wypadła mu z dłoni powoli, a on zaczął się cofać.

Zalegającą ciszę przeszył wrzask. Krzyk jednej z wieśniaczek, przenikliwy pisk starej, zabobonnej kobieciny, która gapiła się na coś, co powinno być świeżym truchłem Caitlin, a które wstało właśnie z grobu. Jej wrzaskom nie było końca.

Pozostali wieśniacy zareagowali różnie. Kiloro odwróciło się i uciekło, popędziło co sił, by znaleźć się jak najdalej stąd. Inni zakryli usta dłońmi. Nie byli w stanie wykrzesać z siebie ani jednego słowa. Jednakże kilku innych, którzy trzymali pochodnie, na zmianę ogarniało przerażenie i gniew. Podeszli niepewnie kilka kroków do Caitlin. Widziała po ich minach i gospodarskich narzędziach, które unieśli w górę, że gotowali się do natarcia.

Gdzie ja jestem? zastanawiała się gorączkowo. *I kim są ci ludzie?*

Pomimo całego zamętu, była na tyle przytomna, żeby zorientować się, że musiała szybko działać.

Rozgarnęła stertę ziemi przygniatającą jej nogi, szaleńczo ją rozdrapując. Ziemia była jednak mokra i ciężka, i szło jej to powoli. Przypomniało jej to chwilę spędzoną z bratem na plaży, kiedy zakopał ją w piachu po szyję. Nie była w stanie się poruszyć. Błagała go, by ją uwolnił, a on kazał jej tak leżeć przez kolejne kilka godzin.

Czuła się tak bardzo bezsilna, niczym w potrzasku i wbrew

sobie zaczęła płakać. Zastanawiała się, gdzie podziały się jej wampirze siły. Czy znowu była tylko człowiekiem? Czuła się właśnie w ten sposób. Jak śmiertelniczka. Słaba. Jak każdy człowiek.

Nagle ogarnął ją strach. Bardzo intensywna trwoga.

– Niech mi ktoś pomoże, proszę! – zawołała, próbując napotkać wzrok którejś ze stojących wokół kobiet, mając nadzieję, że znajdzie wśród nich życzliwą duszę.

Niestety. Nikt nie okazywał zrozumienia. Na ich twarzach gościły jedynie szok i strach.

I złość. Grupa mężczyzn z wysoko uniesionymi narzędziami skradała się do niej podejrzliwie. Nie zostało jej dużo czasu.

Spróbowała przemówić bezpośrednio do nich.

– Proszę! – krzyknęła. – To nie tak, jak myślicie! Nie zamierzam wyrządzić wam krzywdy. Proszę, nie róbcie mi nic złego! Pomóżcie mi wydostać się stąd!

Jej słowa zdały się jedynie ich ośmielić.

– Zabić wampira! – wrzasnął jakiś wieśniak. – Zabić ją jeszcze raz!

Jego krzyk spotkał się z entuzjastycznym rykiem pozostałych ludzi. Gawiedź chciała jej śmierci.

Jeden z wieśniaków, najwidoczniej z tych odważniejszych, prymitywny drab zbliżył się do niej na odległość kilku stóp. Objął ją bezlitosnym, pełnym wściekłości spojrzeniem, po czym uniósł wysoko kilof. Caitlin widziała, że celował prosto w twarz.

– Tym razem umrzesz! – wrzasnął i wziął zamach.

Caitlin zamknęła oczy i skądś, z głębi ciała, wydobyła gniew. Pierwotny szal, który tkwił jeszcze gdzieś w jej duszy, który rozszedł się promieniście od stóp, przez ciało aż po cały tułów. Pałała żarem. Po prostu, to nie było w porządku, żeby umierać w ten sposób, żeby napadali na nią, kiedy była taka bezbronna. Nic im nie zrobiła. *To po prostu nie w porządku*, rozbrzmiewało echem w jej głowie, kiedy gniew sięgnął zenitu.

Wieśniak uderzył mocno, celując w twarz Caitlin, kiedy nagle poczuła przypływ tak potrzebnej w tej chwili siły. Wyskoczyła z ziemi i jednocześnie złapała kilof za uchwyt w połowie uderzenia.

Usłyszała okrzyk przerażenia, który wydarł się z tłumu – przestraszeni wieśniacy cofnęli się o kilka stóp. Nadal trzymając trzonek kilofa, Caitlin obejrzała się na draba. Wyraz jego twarzy zmienił się nagle w śmiertelne przerażenie. Zanim zdolał zareagować, wyrwała mu narzędzie z dłoni, odchyliła się i kopnęła go mocno w tors. Poleciał w tył na dobre dwadzieścia stóp i wylądował w tłumie wieśniaków, przewracając sobą kilkoro z nich na ziemię.

Caitlin uniosła kilof wysoko, podbiegła kilka kroków do ludzi i z najstraszliwszą miną, na jaką było ją stać, warknęła.

Przerażeni wieśniacy unieśli dłonie do twarzy i wrzasnęli. Niektórzy czmychnęli do lasu, inni, którzy pozostali na miejscu, skulili się ze strachu.

Właśnie takiego efektu się spodziewała. Wystraszyła ich wystarczająco mocno, by ich oszołomić. Wypuściła kilof z rąk i

przebiegła tuż koło nich, po czym puściła się biegiem przez pole w stronę zachodzącego słońca.

Biegając, czekała, aż wróci do niej jej wampirze moce, aż rozwiną się jej skrzydła i tak po prostu wzniesie się w powietrze i odleci daleko stąd.

Ale nie miała tyle szczęścia. Z jakiegoś powodu tak się nie stało.

Utraciłam je? zaczęła się zastanawiać. *Znowu jestem zwykłym człowiekiem?*

Biegła tempem normalnego człowieka i nie czuła nic na plecach, żadnych skrzydeł, bez względu na to, jak bardzo tego pragnęła. Czy była słaba i bezbronna jak oni wszyscy?

Zanim nadeszła odpowiedź, usłyszała za sobą jakąś wrzawę. Spojrzała ponad ramieniem i dostrzegła tłum wieśniaków – gonili ją. Krzyczeli, potrząsali pochodniami, narzędziami i kijami, podnosili z ziemi kamienie, wciąż gnając za nią.

Proszę, Boże, modliła się. Niech ten koszmar się skończy. Abym mogła zorientować się, gdzie jestem. Bym odzyskała siły.

Spuściła wzrok i po raz pierwszy zauważyła swój ubiór. Miała na sobie długą, wykwinną, czarną suknię, przepięknie haftowaną, która zakrywała ją od stóp po szyję. Nadawała się na jakąś oficjalną okazję – jak choćby pogrzeb – ale na pewno nie na szybki bieg. Materiał ograniczał jej kroki. Sięgnęła dłonią w dół i rozdarła go na wysokości kolan. Nieco pomogło i pobięła szybciej.

Lecz nadal biegła zbyt powoli. Czuła, jak ogarniało ją

zmęczenie, a tłum za nią zdawał się pałać niewyczerpaną energią. Szybko ją doganiali.

Nagle poczuła coś ostrego z tyłu głowy i aż zatoczyła się z bólu. Potknęła się, poczuwszy uderzenie. Sięgnęła dłonią do miejsca promieniującego bólem. Całą dłoń pokryła krew. Ktoś rzucił kamieniem.

Zauważyła kilka kolejnych kamieni przelatujących obok niej. Odwróciła się i zobaczyła, że to wieśniacy rzucali kamieniami w jej stronę. Któryś z nich trafił ją w krzyż, wywołując niemiłosierny ból, aż nogi się pod nią ugięły. Gawiedź dzieliło od niej już tylko dwadzieścia stóp.

W oddali zauważyła strome wzgórze, na którym stał wielki, średniowieczny kościół oraz klasztor. Pobiegnęła w tym kierunku. Miała nadzieję, że jeśli uda się jej tam dotrzeć, być może znajdzie schronienie przed rozwścieczonymi ludźmi.

Kiedy jednak poczuła kolejne uderzenie w bark, zdała sobie sprawę, iż znalazła się w beznadziejnej sytuacji. Kościół był nadal daleko, ona opadała z sił, a tłum był już zbyt blisko niej. Nie miała wyboru. Musiała odwrócić się i walczyć. *Jak na ironię*, pomyślała. Po tym wszystkim, przez co przeszła, po tych wszystkich wampirzych bitwach, nawet po tym, jak udało się jej przetrwać podróż w czasie, mogła skończyć martwa, zabita przez tłum wieśniaków.

Zatrzymała się w pół kroku, odwróciła i spojrzała na tłum. Jeśli miała umrzeć, to przynajmniej w trakcie walki.

Stanąwszy przed ludźmi, zamknęła oczy i odetchnęła.

Skupiła uwagę, a cały świat wokół niej się zatrzymał. Czuli swoje bosc stopy w trawie, przyrosłe do ziemi i z wolna, aczkolwiek na pewno poczuła wzbierającą w niej pierwotną moc, która wypełniła całe jej ciało. Siłą woli przywołała wspomnienia; zmusiła się przypomnieć sobie gniew, swoją wrodzoną, pierwotną siłę. Kiedyś trenowała i walczyła, posiadając nadludzkie moce. Przywołała je teraz siłą woli. Czuli, że gdzieś, w jakiś sposób, nadal tkwiły w jej wnętrzu.

Kiedy tak stała i patrzyła, przypomniła sobie cały motłoch, wszystkich łobuzów i drani w swoim życiu. Pomyślała o matce, której szkoda było okazać Caitlin choćby odrobinę życzliwości; przypomniła sobie oprychów, którzy gonili ją i Sama alejkami Nowego Jorku. Pomyślała o tych draniach w Hudson Valley, koleżkach Sama. I przypomniła sobie swoje pierwsze spotkanie z Cainem na wyspie Pollepel. Wyglądało na to, że zawsze i wszędzie byli jacyś dranie. Ucieczka przed nimi nigdy nie wyszła jej na dobre. I tak, jak to zwykle robiła, i tym razem musiała stanąć do walki.

Rozpamiętując niesprawiedliwość panującą na świecie, poczuła, jak narasta w niej wzburzenie, jak krąży w jej ciele. Jak podwaja, a nawet potraja się intensywność jej gniewu, aż wezbrała nim każda jej żyła, a mięśnie niemal od niego nie pękły.

W tym właśnie momencie otoczył ją tłum. Jakiś wieśniak podniósł pałkę i zamachnął się w stronę jej głowy. Korzystając z dopiero co odkrytej w sobie mocy, w ostatniej chwili zdołała zrobić unik, schyliła się i przerzuciła człowieka przez ramię.

Poleciał w powietrzu kilka stóp, po czym wylądował na plecach w trawie.

Kolejny mężczyzna zamachnął się na nią trzymanym w dłoni wielkim kamieniem, celując w jej głowę; jednak Caitlin chwyciła go za nadgarstek i wygięła ostro. Mężczyzna osunął się na ziemię z krzykiem.

Trzeci wieśniak natarł na nią z motyką, ale Caitlin była za szybka: odwróciła się na pięcie i chwyciła ją w pół uderzenia. Wyrwała narzędzie z rąk mężczyzny, zakręciła nim w powietrzu i wyrznęła człowieka w głowę.

Długa na sześć stóp motyka była dokładnie tym, czego było jej akurat trzeba. Machała nią dokoła, powalając każdego w jej zasięgu. W kilka chwil odgrodziła się od wszystkich, zmuszając ich do pozostania poza zasięgiem narzędzia. Zauważyła, jak jeden z wieśniaków zamierzał właśnie rzucić w nią wielkim odłamkiem. Cisnęła motyką wprost w niego. Narzędzie uderzyło go w dłoń, wybijając z niej kamień.

Caitlin wbiegła w otumaniony tłum, wyrwała pochodnię z ręki jakiejś staruchy i zamachnęła się nią na oślepa. Zdołała podpalić część wysokiej, wysuszonej trawy i usłyszała krzyki wieśniaków, którzy cofnęli się nagle zdjęci trwogą. Kiedy ściana ognia podniosła się dostatecznie wysoko, Caitlin rzuciła pochodnię wprost w zebrany tłum. Poleciała w powietrzu i wylądowała na tylnej części tuniki jakiegoś mężczyzny, obejmując płomieniami zarówno jego, jak i stojącego obok człowieka. Ludzie szybko zebrali się wokół nich, by ugasić ogień.

Przysłużyli się tym samym Caitlin. W końcu ich uwaga skupiła się na czymś innym na tyle, by mogła znaleźć drogę ucieczki i wymknąć się im. Nie garnęła się do zadawania im bólu. Chciała jedynie, by zostawili ją w spokoju. Musiała złapać oddech, zorientować się w swoim położeniu.

Odwróciła się i puściła pędem w górę, w stronę leżącego na wzgórzu kościoła. Znalazłszy w sobie nową siłę i szybkość, w kilku susach pokonała odległość pozwalającą zostawić pościg daleko w tyle. Miała też nadzieję, że kościół będzie otwarty, i że ją wpuszczą do środka.

Zapał zmierzch. Biegła, wyczuwając pod bosymi stopami trawę. Wkrótce zauważyła kilka, rozpalanych na rynku i wzdłuż klasztornych murów, pochodni. Kiedy zbliżyła się do nich, spostrzegła nocnego strażnika stojącego wysoko na blankach. Spojrzał w dół, na nią i na jego twarzy pojawił się strach. Uniósł pochodnię nad głowę i wrzasnął: – Wampir! Wampir!

Natychmiast rozległo się bicie kościelnych dzwonów.

Caitlin ujrzała dziesiątki pochodni. Ni stąd, ni zowąd pojawili się ludzie. Strażnik nie przestawał się wydzierać i do tego wciąż biły kościelne dzwony. Rozpoczęło się polowanie na czarownicę. Wydawało się, że wszyscy biegli dokładnie w jej kierunku.

Caitlin przyspieszyła, biegnąc tak szybko, aż kości zawyły jej z bólu. Z trudem łapiąc powietrze, w samą porę dotarła do dębowych, kościelnych drzwi. Otworzyła jedno skrzydło szarpnięciem, wśliznęła się do środka i zatrzasnęła je za sobą z hukiem.

Rozejrzała się gorączkowo po wnętrzu i dostrzegła pasterską laskę. Chwyciła ją natychmiast i przesunawszy przez obydwa skrzydła zatarasowała nią drzwi od środka.

W tej samej chwili usłyszała olbrzymi łomot dziesiątek rąk walących w drzewo po drugiej stronie. Drzwi zatrzęsły się, ale nie ustąpiły. Laska wytrzymała – przynajmniej jak dotąd.

Szybko rozejrzała się po pomieszczeniu. Kościół był na szczęście pusty. Był ogromny. Jego strzelisty strop unosił się setki stóp nad głową. Panował tu chłód i pustka. Setki ław stały na marmurowej posadzce; na odległym końcu zaś, nad ołtarzem, płonęło kilka świec.

Kiedy tam spojrzała, mogłaby przysiąc, że dostrzegła jakiś ruch.

Walenie w drzwi narastało z każdą chwilą i dębowe podwoje zaczęły ponownie się trząść. Caitlin ruszyła z miejsca. Pobiegła wzdłuż nawy do ołtarza. Kiedy tam dotarła, zauważyła, że miała rację: ktoś tam był.

Zobaczyła księdza, który klęczał w ciszy, odwrócony do niej plecami. Nie mogła zrozumieć, jak mógł pozostawać tak obojętny na krzyki, na jej obecność, jak mógł aż tak pogрузić się w modlitwie i to dokładnie w tej chwili. Miała nadzieję, że nie odda jej z powrotem w ręce tego tłumu.

– Witaj? – powiedziała.

Nie odwrócił się.

Podbiegła z drugiej strony i spojrzała mu w twarz. Był starszawym mężczyzną. Jego głowę pokrywała biała czupryna.

Był ogolony, a jego jasnobłękitne oczy wydawały się zapatrzone we wszechświat, kiedy tak klęczał i się modlił. Nawet nie zadał sobie trudu, by na nią spojrzeć. Było w nim coś jeszcze, co Caitlin natychmiast wyczuła. Będąc w takim stanie, potrafiła wyczuć w nim jakąś różnicę. Wiedziała, że był tego samego rodzaju, co ona. Że był wampirem.

Walenie zabrzmiało jeszcze głośniejsze. Jeden z zawiasów pękł i Caitlin spojrzała na drzwi z trwogą. Gawieź wydawała się zdecydowana, a ona nie wiedziała, gdzie indziej mogłaby pójść.

– Pomóż mi, proszę! – ponagliła księdza.

Modlił się dalej przez kilka chwil. W końcu, nawet na nią nie spojrzawszy, powiedział:

– Jak mogą zabić to, co już martwe?

Usłyszała charakterystyczny dźwięk rozłupującego się drewna.

– Proszę – ponaglała. – Nie oddawaj mnie im.

Wstał powoli, spokojny i opanowany i wskazał na ołtarz.

– Tam – powiedział. – Za kotarą. Klapa w podłodze. Szybko!

Spojrzała we wskazanym kierunku, ale dostrzegła jedynie ogromne podwyższenie pokryte aksamitną tkaniną. Podbiegła tam, odchyliła płótno i ujrzała drzwi. Podniosła je i wcisnęła się do wnętrza.

Cisnąc się w środku skrytki, wyjrzała przez szczelinę. Widziała, jak ksiądz pospieszył do bocznych drzwi i otworzył je kopniakiem z zadziwiającą siłą.

W tej samej chwili, kościelne drzwi zostały powalone przez

tłum, który wpadł do środka i zaczął biec wzdłuż nawy.

Caitlin zasłoniła szybko kotarę na całej długości. Miała nadzieję, że jej nie zauważyli. Obserwowała wszystko przez szczelinę. Jak tłum pędził w jej kierunku, jakby wiedział.

– Tędy! – wrzasnął ksiądz. – Tam uciekł wampir!

Wskazał na boczne drzwi i tłum ruszył pędem, omijając go, z powrotem w mroczną noc.

Po kilku sekundach, niekończący się potok ciał opuścił kościół i wszystko na powrót ucichło.

Ksiądz zamknął drzwi i zaryglował je za ludźmi.

Usłyszała jego kroki, kiedy podszedł do niej. Trzęsąc się ze strachu i z zimna, powoli otworzyła klapę.

Odsunął kotarę i spojrzał na nią.

Podał jej dłoń.

– Caitlin – powiedział i uśmiechnął się. – Długo na ciebie czekaliśmy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Rzym, 1790

Spowity mrokiem Kyle, oddychał ciężko. Niewiele rzeczy nienawidził tak bardzo, jak ciasnych i dusznych miejsc. Kiedy podniósł dłoń w ciemności i poczuł otaczający go kamień, oblał się potem. Był w pułapce. Nic gorszego nie mogło go spotkać.

Przesunął dłoń, zacisnął pięść i wyciągniętym kciukiem wybił w kamieniu dziurę. Posypały się odłamki, a Kyle zasłonił oczy przed dziennym światłem.

Jeśli było cokolwiek, co mogło rozszerzyć go bardziej niż utknięcie w pułapce, to z pewnością było to nagłe i bezpośrednie wystawienie się na światło słoneczne, zwłaszcza, kiedy nie miał na skórze ochronnego okładu. Szybko przeskoczył nad gruzami i ukrył się za murem.

Odetchnął głęboko i rozejrzał się po okolicy zdezorientowany. Starł z oczu kurz. Właśnie tego nienawidził w podróży w czasie: nigdy nie wiedział, gdzie wypłynie, gdzie się pojawi. Od wieków już tego nie próbował, a i tym razem nie zdecydowałby się, gdyby nie Caitlin będąca mu wiecznie solą w oku.

Nie minęło wiele czasu po tym, jak opuściła Nowy Jork, kiedy Kyle zorientował się, że jego wojna tylko po części skończyła się zwycięstwem. Tak długo, jak Caitlin była na wolności, na tropie Tarczy, Kyle wiedział, że nie może spocząć. Stał u progu zwycięstwa, zniewolenia całego rodzaju ludzkiego

i zostania jedynym przywódcą jego własnej rasy. Lecz teraz powstrzymywała go to mała, żałosna dziewczyna. Tak długo jak Tarcza pozostawała w zasięgu praktycznie każdego, nie mógł objąć władzy absolutnej. Nie miał wyboru. Musiał wysledzić ją i zabić. I jeśli oznaczało to podróż w czasie, właśnie to miał zamiar uczynić.

Oddychając ciężko, sięgnął po maść i posmarował ramiona, szyję i tors. Rozejrzał się wokoło i zorientował się, że był w jakimś mauzoleum. Wyglądało na rzymskie, sądząc po oznaczeniach. *Rzym.*

Nie był tutaj od lat. Rozbijając marmur, wzbiał tuman kurzu, który zawisł ciężko w powietrzu i zasłaniał większość widoku. Wziął głęboki oddech, zebrał siły i skierował się na zewnątrz.

Miał rację: to był Rzym. Rozejrzał się, dostrzegł typowe włoskie cyprysy i wiedział, że nie mógł być nigdzie indziej. Uświadomił sobie, że stoi na szczycie rzymskiego forum, wśród zielonych traw, pagórków, dolin i niszczących pomników ciągnących się przed nim po łagodnym zboczu. Widok ten przywołał wspomnienia. Wielu ludzi pozbawił w tym miejscu życia, dawniej, kiedy jeszcze z niego korzystano. Sam niemal tu zginął. Uśmiechnął się, kiedy o tym pomyślał. Było to jedno z jego ulubionych miejsc.

I idealnie nadawało się na kres podróży w czasie. Niedaleko stał Panteon. W kilka minut mógł stawić się przed Wielką Radą Rzymską, najpotężniejszym klanem, i uzyskać wszystkie odpowiedzi, które tak bardzo pragnął usłyszeć. Wkrótce

miał dowiedzieć się, gdzie przebywa Caitlin, i jeśli wszystko ułożyłoby się dobrze, otrzymać zgodę na jej zabicie.

Niekoniecznie jej potrzebował. Była to kwestia uprzejmości, etykiety wampirów, spuścizny tysiącletniej tradycji. Zawsze oczekiwano zgody na zabicie kogokolwiek na terytorium podległym danej osobie.

Gdyby odmówili, nie wycofałby się ani na jotę. Mógł utrudnić sobie tym życie, ale miał zamiar zabić każdego, kto stanie na jego drodze.

Oddychał głęboko rzymskim powietrzem i czuł się jak w domu. Zbyt wiele czasu minęło, od kiedy był tu po raz ostatni. Utknął zbyttnio w sprawach związanych z Nowym Jorkiem, w polityce, w nowoczesnych czasach i miejscach. To tutaj było bardziej w jego stylu. W oddali dostrzegł konie, polne drogi i zgadywał, że najprawdopodobniej trafił do osiemnastego wieku. Idealnie. Rzym był już miastem, lecz wciąż jeszcze dziewiczym, mającym przed sobą dwieście lat doganiania reszty.

Kyle przyjrzał się sobie uważnie i stwierdził, że przetrwał podróż do przeszłości w całkiem dobrym stanie. Zdarzało się, że wychodził z tych podróży cały poobijany i potrzebował wiele czasu na dojście do siebie. Ale nie tym razem. Czuł się silniejszy, niż kiedykolwiek przedtem. Był gotowy do drogi. Czuł, że jego skrzydła mogły rozwinąć się w każdej chwili, że mógł polecieć wprost do Panteonu, gdyby tylko zechciał i wprowadzić swój plan w życie.

Jednak nie był do końca gotowy. Nie miał wakacji od

dłuższego czasu i, powróciwszy tu, czuł się dobrze. Chciał trochę pozwiedzać, zobaczyć i przypomnieć sobie jak to jest być tutaj.

W kilku susach zbiegł ze wzgórza z oszałamiającą prędkością. Nie minęła sekunda, kiedy opuścił forum i znalazł się na tętniących życiem, zatłoczonych ulicach Rzymu.

Nie mógł się nadziwić, że nawet dwieście lat wcześniej mogło być tu tak tłoczno, jak zwykle w Rzymie.

Spowolnił tempo i wtopił się w tłum, idąc wraz z ludźmi. A była ich cała masa. Szeroki bulwar nadal przykrywała ziemia. Tysiące ludzi kroczyło po nim, zmierzając w różne strony. Były też konie wszelakiej maści i rodzaju zaprzęzione do wozów, fur i karet. Ulice cuchnęły ludzkim potem i końskim łajnem. Wszystko powoli do niego wracało, brak kanalizacji, brak łaźni – smród dawnych czasów. Aż zrobiło mu się od tego niedobrze.

Czuł, jak ludzie popychają go we wszystkie strony, jak tłumy gęstnieją, wypełniając się ludźmi wszelkiego pochodzenia, spiesząc tam i z powrotem. Nie mógł nadziwić się prymitywnym, sklepowym witrynom, sprzedającym staromodne włoskie kapelusze. Zachwycił się widokiem chłopców ubranych w łachmany, podbiegających do niego, by sprzedać mu trzymane w dłoni cząstki owoców. Niektóre rzeczy w ogóle się nie zmieniały.

Skreślił w wąską, obskurną alejkę, którą tak dobrze pamiętał, mając nadzieję, że wciąż była taka sama, jak niegdyś. Z przyjemnością stwierdził, że się nie zmieniła: przed nim stały dziesiątki prostytutek, opierając się o mury i nawołując go, kiedy

przechodził obok.

Uśmiechnął się szeroko.

Kiedy podszedł do jednej – wielkiej, piersiastej kobiety z barwionymi na rudo włosami i przesadnym makijażem – sięgnęła dłonią w jego stronę i pogłaskała go po twarzy.

– Witaj chłoptasiu – powiedziała – szukasz przygody? Ile masz przy sobie?

Kyle uśmiechnął się, objął ją ramieniem i ruszył razem z nią w boczną alejkę.

Poszła z nim z ochotą.

Kiedy tylko minęli róg, kobieta powiedziała:

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Ile masz...

Zadała pytanie, którego nigdy nie dane było jej dokończyć.

Zanim skończyła mówić, Kyle zatopił kły głęboko w jej szyi.

Próbowała krzyknąć, ale szczelnie zasłonił jej usta wolną ręką i przyciągnął bliżej do siebie. I pił. I pił. Czuł, jak ludzka krew rozchodzi się w jego żyłach, czuł prawdziwe upojenie. Jeszcze przed chwilą czuł się wysuszony, odwodniony. Podróż w czasie wyczerpała go i dokładnie tego było mu trzeba, by odzyskać świetny nastrój.

Czuł jak jej ciało wiotczeje, ale pił nadal, wysysał coraz więcej i więcej, prawdopodobnie więcej, niż było mu trzeba. W końcu, poczuwszy całkowitą sytość, upuścił jej zwiedłe ciało na ziemię.

Kiedy odwrócił się i miał już wyjść z alejki, podszedł do niego ogromny mężczyzna, nieogolony i bez jednego zęba. Wydobył

sztylet z za pasa.

Spojrzał na martwą kobietę, po czym podniósł wzrok na Kyle'a i skrzywił się na twarzy.

– Była moja własnością – powiedział. – Lepiej, żeby było cię na to stać.

Zrobił dwa kroki w stronę Kyle'a, po czym runął na niego ze sztyletem.

Kyle z łatwością uniknął ciosu, korzystając ze swego błyskawicznego refleksu. Chwycił nadgarstek mężczyzny i jednym ruchem pociągnął go w tył, łamiąc mu rękę w połowie. Człowiek wrzasnął, ale nie zdążył dokończyć. Kyle wyrwał mu sztylet z dłoni i tym samym ruchem podciął mu gardło. Pozwolił, by jego martwe ciało osunęło się na ulicę.

Spojrzał na sztylet, misternie wykonany niewielki przedmiot z trzonkiem z kości słoniowej i skinał głową. Nawet w połowie nie było tak źle. Wsunął sztylet za pas i grzbietem dłoni starł krew z ust. Odetchnął głęboko. Nareszcie zadowolony ruszył alejką z powrotem na ulicę.

Ach! Jakże tęsknił za Rzymem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Caitlin ruszyła za księdzem wzdłuż nawy, kiedy skończył ryglować frontowe drzwi i zamykać wszystkie inne wejścia do kościoła. Słońce zaszło już i ksiądz zapalał pochodnie, odsłaniając po kolei coraz większą przestrzeń budowli.

Caitlin podniosła wzrok i dostrzegła liczne wielkie krzyże. Zastanawiała się, dlaczego czuła się tu tak beztrzesko. Czy wampiry nie powinny przypadkiem obawiać się kościołów? Krzyży? Przypomniała sobie dom Białego Klanu w nowojorskim Cloisters i krzyże wiszące na tamtejszych murach. Caleb powiedział jej kiedyś, że niektóre rasy wampirów utożsamiały się z kościołami. Uraczył ją przydługą przemową o historii wampirzej rasy i jej związku z chrześcijaństwem, lecz nie słuchała go zbyt dokładnie. Była w nim wówczas zanadto zakochana. I teraz tego pożałowała.

Ksiądz poprowadził ją bocznymi drzwiami, po czym skierowali się w dół po kamiennych schodach. Kiedy szli zwieńczonym łukiem, średniowiecznym korytarzem, ksiądz rozpałał kolejne pochodnie.

– Myślę, że nie wrócą – powiedział, ryglując za sobą kolejne drzwi. Przeczeszą całą okolicę szukając ciebie, a kiedy nic nie znajdą, wrócą do swoich domów. Zawsze tak robią.

Caitlin czuła się bezpiecznie i była niezmiernie wdzięczna za okazaną jej pomoc. Zastanawiała się, z jakiego powodu jej

pomógł, dlaczego naraził własne życie dla niej.

– Gdyż jesteśmy tej samej rasy – powiedział, odwróciwszy się i popatrzywszy wprost na nią, przeszywając ją spojrzeniem błękitnych oczu.

Caitlin zawsze zapominała, jak łatwo przychodziło wampirom odczytywać czyjeś myśli. W tej akurat chwili zapomniała, że był jednym z nich.

– Nie wszyscy obawiamy się kościołów – powiedział, kolejny raz odpowiadając na jej myśli. – Wiesz, że nasza rasa dzieli się na wiele odłamów. Nasz – życzliwy rodzaj – potrzebuje kościołów. Dzięki nim, rozwijamy skrzydła.

Minęli kolejny korytarz, zeszli po kilku następnych stopniach, a Caitlin zastanawiała się, gdzie ją prowadził. Tyle pytań cisnęło się jej do głowy, że nie wiedziała, od czego zacząć.

– Co to za miejsce? – spytała i natychmiast zdała sobie sprawę, że były to jej pierwsze słowa skierowane do niego od momentu, kiedy się spotkali. Potem zalała go potokiem pospiesznie zadawanych pytań. – Jaki kraj? Który mamy rok?

Uśmiechnął się, idąc dalej, a jego twarz pokrywały liczne, podyktowane wiekiem zmarszczki. Był niskim, chuderlawym mężczyzną, o zbielałych włosach, świeżo ogolonej twarzy i wyglądzie ukochanego dziadka. Nosił misternie wyszywany strój księdza i wyglądał w istocie staro, nawet jak na wampira. Zastanawiała się, ile to już wieków spędził na tym ziemskim padole. Wyczuwała emanującą od niego życzliwość i ciepło. I czuła się przy nim nadzwyczaj swobodnie.

– Tyle pytań – powiedział w końcu z uśmiechem. – Rozumiem. Dla ciebie to duże przeżycie. Cóż, zacznijmy od tego, że jesteś w Umbrii. W niewielkim mieście zwanym Asyż.

Zaczęła łamać sobie głowę, próbując rozgryźć, gdzie to może być.

– We Włoszech? – spytała.

– Tak, w przyszłości tereny te będą częścią kraju zwanego Włochami – powiedział. – Ale nie obecnie. Nadal zachowujemy niepodległość. Pamiętaj – uśmiechnął się – że to już nie jest dwudziesty pierwszy wiek, jak może odgadnąć po strojach i zachowaniu tych wieśniaków.

– Który to rok? – spytała cicho, niemalże obawiając się odpowiedzi. Jej serce zabiło szybciej.

– Trafiłaś do osiemnastego wieku – odparł. – A dokładniej: do roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego.

Tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty. Asyż. Umbria. Włochy.

Myśl ta poruszyła ją do głębi. To wszystko wydawało się takie nierealne, jak ze snu. Z ledwością potrafiła uwierzyć, że to działa się naprawdę, że rzeczywiście, faktycznie trafiła *tutaj*, do tego miejsca i czasu. Że podróż w czasie istotnie wypaliła.

Poczuła też niewielką ulgę: ze wszystkich miejsc i dat, w których mogła wylądować, Włochy w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym nie rokowały aż tak źle. W porównaniu na przykład z czasami prehistorycznymi.

– Dlaczego tamci ludzie próbowali mnie zabić? I kim ty

jesteś?

– Pomimo wszelkich naszych zabiegów, te czasy nadal trąca nieco prostactwem i zabobonem – odparł. – Nawet w okresie takiego zbytku i dekadencji, a jakże, znajdują się setki aroganckich plebejuszy, którzy będą żyć w ciągłym strachu przed nami.

– Zrozum, to niewielkie, górskie miasteczko, jakim jest Asyż, od zawsze było bastionem naszego rodzaju. Wampiry często tu przybywają. Od zawsze. Nasz rodzaj karmi się wyłącznie ich inwentarzem. Mimo to, z czasem, przykuliśmy uwagę wieśniaków.

– Czasami wypatrzą jednego z nas. Kiedy już do tego dojdzie, sytuacja staje się nie do przyjęcia. Dlatego od czasu do czasu pozwalamy im grzebać niektórych z nas. Pozwalamy im odprawić te ich śmieszne, ludzkie obrządki, pozwalamy, by myśleli, że się nas pozbyli. A kiedy nie patrzą, wstajemy i wracamy do swoich spraw.

– Czasami jednak jakiś wampir wstanie za wcześnie, lub też ktoś przyuważy, jak ten powstaje z grobu. Wówczas zbiega się motłoch. Ale wzburzenie mija. Zawsze tak jest. Niepotrzebnie zwraca to uwagę na nasz rodzaj, ale tylko chwilowo.

– Przepraszam – powiedziała Caitlin, czując się z tego powodu źle.

– Nie przejmuj się – odparł. – To była twoja pierwsza podróż w czasie. Nie potrafiłaś nad tym zapanować. Do tego trzeba trochę się przyzwyczaić. Nawet najlepsi z nas nie potrafią za dobrze kontrolować wynurzenia. Ciężko jest za każdym razem

przewidzieć dokładnie, kiedy i gdzie wylądujesz. Tobie poszło dobrze – powiedział i delikatnie objął jej dłoń.

Minęli kolejny korytarz, tym razem z nisko sklepionym stropem.

– Poza tym, aż tak źle ci nie poszło – dodał. – Jak by nie było, wiedziałaś, żeby tutaj skierować kroki.

Caitlin przypomniała sobie ten moment, kiedy pędząc przez pole, zauważyła kościół.

– Po prostu logicznie było udać się właśnie do niego – odparła.
– Był pierwszym budynkiem, który rzucił mi się w oczy i wyglądał na twierdzę.

Uśmiechnął się, potrząsając głową.

– W świecie wampirów nie istnieje coś takiego jak zbieg okoliczności – powiedział. – Wszystko dzieje się z przeznaczenia. Budowla, która tobie wyda się bezpieczną, komuś innemu może wydać się wątpliwa. Nie, wybrałaś to miejsce nie bez powodu. Szczególnego powodu. I zostałaś do mnie sprowadzona.

– Ale ty jesteś księdzem.

Potrząsnął głową nieznacznie

. – Jeszcze jesteś młoda, bardzo młoda i nadal wiele przed tobą nauki. Mamy własną religię, własne wyznanie. Nie różni się zbytnio od kościelnego. Można być wampirem i w dalszym ciągu uczestniczyć w życiu religijnym. Zwłaszcza będąc takim jak my. Ja służyć nawet pomocą ludziom w ich codziennym życiu duchowym. Wszak korzystam z dobrodziejstw mądrości zdobytej w trakcie tysięcy lat przebywania na tej planecie – w

przeciwieństwie do ludzkich księży. Na szczęście ludzie nie mają pojęcia, że nie jestem jednym z nich. Wiedzą jedynie, że jestem miejskim klechą, i że zawsze nim byłem.

Caitlin rozmyślała gorączkowo, próbując pogodzić jakoś te fakty. Postać wampirzego księdza wydała jej się paradoksalna. A pomysł, że istniała jakaś wampirza religia i to w obrębie kościelnych murów był co najmniej dziwny.

Pomimo tego, jak fascynujące były te wszystkie wieści, jedyna rzecz, której chciała się dowiedzieć nie dotyczyła wampirów, czy też kościołów lub religii. Chciała usłyszeć o Calebie. Czy przetrwał podróż? Czy żył? I gdzie był?

Chciała też rozpaczliwie dowiedzieć się o swym dziecku. Czy była wciąż brzemienna? Czy i dziecko przeżyło tę podróż?

Skupiła myśli na tych pytaniach, mając nadzieję, że ksiądz podchwyci temat i odpowie jej na nie.

Ale nie zrobił tego.

Wiedziała, że usłyszał jej myśli i świadomie na nie nie zareagował. Zmuszał ją do tego, aby wypowiedziała je na głos. A przecież obawiała się zadać te pytania i on prawdopodobnie o tym wiedział.

– Co z Calebem? – spytała w końcu trzęsącym się głosem. Była zbyt podenerwowana, aby spytać o dziecko.

Obejrzał się na nią. Zauważyła, jak jego uśmiech zbladł, jak przez jego twarz przemknął ledwie zauważalny grymas.

Jej serce stanęło.

Proszę, pomyślała. Proszę, niech to nie będą złe wieści.

– Niektórych rzeczy będziesz musiała dowiedzieć się sama – powiedział powoli. – O niektórych nie mnie jest rozprawiać. Tę podróż musisz podjąć sama. Tylko i wyłącznie sama.

– Ale jest tu? – spytała z nadzieją w głosie. – Czy udało mu się?

Idąc u jej boku, ksiądz zacisnął wargi. Pozwolił, by jej pytania zawisły w powietrzu i pozostały bez odpowiedzi przez chwilę, która zdawała się trwać całą wieczność.

W końcu stanęli przed kolejnymi schodami. Ksiądz odwrócił się i spojrzał na nią.

– Chciałbym móc powiedzieć ci więcej – powiedział. – Naprawdę.

Po czym odwrócił się, wzniosł przed sobą pochodnię i ruszył w dół po kolejnych stopniach.

Weszli do długiego, podziemnego korytarza, którego sklepienie pokrywały wymyślnie zaprojektowane złocenia. Były w całości pokryte freskami o jaskrawych barwach, między którymi rozmieszczono łuki, również zdobione złotem. Strop lśnił.

Podłoga również. Pokryta pięknym, różowym marmurem, który wyglądał jak świeżo umyty. Podziemne kondygnacje kościoła były olśniewające. Wyglądały jak antyczny skarbiec.

– No! No! – Caitlin usłyszała nagle własne na głos wypowiedziane słowa. – Co to za miejsce?

– To miejsce cudów. Jesteś w kościele świętego Franciszka z Asyżu. Będąco zarazem miejscem jego wiecznego spoczynku.

To wielce święte miejsce dla naszej religii. Zarówno ludzie jak i wampiry przybywają tu z pielgrzymką z odległych o tysiące mil miejsc tylko po to, aby tu pobyc przez chwilę. Franciszek był patronem zwierząt i wszystkich żywych stworzeń – poza rodzajem ludzkim – włączając w to nas. Powiadają, że dochodzi tu do cudów. Chroni nas tu jego moc.

– Nie wylądowałaś tu przez przypadek – ciągnął dalej. – To miejsce jest twoim portalem. Jakby odskocznia, z której wyruszysz w swoją podróż, swoją *własną* pielgrzymkę.

Odwrócił się i zmierzył ją wzrokiem.

– W dalszym ciągu nie zauważasz – powiedział – że to twoja podróż. Niektóre pielgrzymki ciągną się latami i wymagają pokonania wielu mil.

Caitlin zaczęła o tym rozmyślać. Przytłaczało ją to wszystko. Nie chciała wyruszać w żadne podróże, chciała wrócić do domu, być razem z Calebem; cali i zdrowi w dwudziestym pierwszym wieku, pozostawiając ten cały koszmar daleko za sobą. Była zmęczona ciągłymi zmianami miejsca, ciągłym uciekaniem, niekończącymi się poszukiwaniami. Tęskniła jedynie za normalnym życiem, życiem nastoletniej dziewczyny.

Ale powstrzymała się od dalszego myślenia w ten sposób. Wiedziała, że w niczym to jej nie pomoże. Zaszły zmiany – trwałe i nieodwołalne – i już nic nie będzie takie samo. Przypomniała sobie, że teraz zmiana była normą. Nie była już tą samą, dawną, zwyczajną, ludzką Caitlin. Była starsza. Mądrzejsza. I czy jej się to podobało, czy nie, miała wyjątkową

misję do wypełnienia. Musiała to po prostu zaakceptować.

– Gdzie wiedzie moja pielgrzymka? – spytała. – Jakie jest moje przeznaczenie? Dokąd właściwie zmierzam?

Zaprowadził ją na tyły ostatniego korytarza, gdzie stanęli przed wielkim, misternie zdobionym grobowcem.

Czuła emanującą z niego energię i w jednej chwili uświadomiła sobie, że był to grób świętego Franciszka. Czuła, że samo stanie obok niego przywracało jej siły, sprawiało, że była coraz silniejsza, że na powrót stawiała się sobą. Kolejny raz zastanawiała się, czy trafiła tu jako człowiek, czy jako wampir. Brakowało jej bardzo własnych mocy.

– Tak, nadal jesteś wampirem – powiedział. – Nie martw się. Trochę czasu upłynie zanim z powrotem będziesz sobą.

Z zakłopotaniem stwierdziła, że znowu zapomniała kryć się ze swymi myślami, jednak jego słowa pocieszyły ją.

– Jesteś bardzo wyjątkową osobą, Caitlin – powiedział. – Bardzo potrzebną naszej rasie. Bez ciebie, ośmieliłbym się nawet powiedzieć, że całej naszej rasie, jak i całemu rodzajowi ludzkiemu groziłoby całkowite wyginięcie. Potrzebujemy ciebie. Potrzebujemy twojej pomocy.

– Ale co takiego miałabym zrobić? – spytała.

– Chcemy, abyś odszukała Tarczę. Aby to zrobić, będziesz musiała odszukać swego ojca. On i tylko on ma do niej dostęp. Natomiast, żeby go znaleźć, będziesz musiała odszukać swój klan. Swój *prawdziwy* klan.

– Ale ja nie mam nawet pojęcia, od czego zacząć –

powiedziała. – Nawet nie wiem, dlaczego akurat tutaj trafiłam, do tego miejsca i czasu. Dlaczego Włochy? Dlaczego rok tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty.

– Będziesz musiała sama poszukać odpowiedzi na te pytania. Ale zapewniam cię, że istnieją naprawdę poważne przesłanki, dla których wróciłaś do tego życia. By spotkać wyjątkowe osoby. Wykonać określone zadania. Oraz żeby to miejsce i czas doprowadziły cię do Tarczy.

Caitlin zamyśliła się.

– Ale nie mam pojęcia, gdzie jest mój ojciec. Nie mam pojęcia, gdzie zacząć go szukać.

Odwrócił się do niej i uśmiechnął.

– Ależ oczywiście, że wiesz – odparł. – I to jest twoim problemem. Nie ufasz swojej intuicji. Musisz nauczyć się szukać głęboko w swojej duszy. Spróbuj. Zamknij oczy i oddychaj głęboko.

Zrobiła tak, jak jej kazał.

– Zapytaj samą siebie: dokąd mam teraz się udać?

Caitlin zrobiła, jak powiedział, łamiąc sobie głowę. Nic się nie wydarzyło.

– Wsłuchaj się w dźwięk swego oddechu. Uwolnij umysł.

Kiedy postąpiła zgodnie z jego słowami, kiedy skupiła się naprawdę i rozluźniła, w jej umyśle zaczęły pojawiać się obrazy. W końcu otworzyła oczy i spojrzała na niego.

– Widzę dwa miejsca – powiedziała. – Florencję i Wenecję.

– Tak – powiedział. – Bardzo dobrze.

– Mam jednak mętlik w głowie. Gdzie mam iść?

– Kiedy podróżujesz, złe wybory nie istnieją. Każda ścieżka prowadzi po prostu do innego miejsca. A wybór należy do ciebie. Twoje przeznaczenie jest bardzo silne, ale posiadasz też wolną wolę. Możesz wybrać, za każdym razem. Teraz na przykład, masz przed sobą zasadniczy wybór. We Florencji wypełnisz swoje obowiązki, przybliżysz się do Tarczy. Tego od ciebie potrzebujemy. W Wenecji zaś załatwisz swoje sercowe sprawy. Będziesz musiała wybrać między twoją misją a twoim sercem.

Poczuła, jak jej serce zabiło mocniej.

Sprawy sercowe. Czy to oznaczało, że Caleb był w Wenecji?

Czuła, jak jej serce ciągnęło do Wenecji. Rozum jednak dyktował, że to we Florencji powinna się pojawić i spełnić pokładane w niej nadzieje.

Czuła się wewnątrz rozdartą.

– Jesteś już dorosłą kobietą – powiedział. – Wybór należy do ciebie. Jeśli jednak podążysz za sercem, czeka cię zawód – ostrzegł. – Sercowy szlak nigdy nie należał do łatwych. Ani przewidywalnych.

– Jestem taka skołowana – odparła.

– Najlepiej idzie nam we śnie – powiedział. – Tu obok jest klasztor. Możesz przespać się tam w nocy, odpocząć i rano zdecydujesz. Do tego czasu odzyskasz pełnię sił.

– Dziękuję – powiedziała i sięgnęła po jego dłoń.

Odwrócił się, chcąc już odejść i w tej chwili jej serce zabiło mocniej. Musiała zadać mu jeszcze jedno pytanie, najważniejsze

ze wszystkich. Po części bała się je wymówić. Zaczęła się trząść. Otworzyła usta, żeby przemówić, ale zaschło jej w gardle.

Odchodził korytarzem i kiedy niemal znikł, Caitlin zdobyła się na odwagę.

– Czekaj! – krzyknęła. A potem cichym głosem dodała: – Proszę, mam jeszcze jedno pytanie.

– Zatrzymał się w miejscu, lecz pozostał odwrócony do niej tyłem. Dziwne, ale nie odwrócił się, jakby wyczuł, o co chciała go zapytać.

– Moje dziecko – powiedziała cichym, trzęsącym się głosem. – Czy... jest... czy udało mu się? Przeżyć podróż? Czy nadal jestem w ciąży?

Odwrócił się powoli i zmierzył ją wzrokiem. Po czym spuścił oczy.

– Przykro mi – powiedział w końcu tak cicho, że nie była pewna, czy dobrze usłyszała. – Cofnęłaś się w czasie. Dzieci mogą tylko podążać z jego biegiem. Twoje dziecko żyje, ale nie w obecnych czasach. Jedynie w przyszłości.

– Ale... – zaczęła, trzęsąc się cała. – Sądziłam, że wampiry mogą podróżować jedynie w przeszłość. Nie w przyszłość.

– To prawda – powiedział. – Obawiam się jednak, że twoje dziecko żyje bez ciebie w jakimś innym miejscu i czasie. Ponownie spuścił wzrok. – Tak mi przykro – dodał.

To powiedziawszy, odwrócił się i odszedł.

A Caitlin poczuła, jakby ktoś przeszył jej serce sztyletem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Caitlin siedziała w surowej izbie franciszkańskiego klasztoru, spoglądając w mrok przez otwarte okno. W końcu przestała płakać. Upłynęły długie godziny od jej rozstania z księdzem, od chwili, kiedy dowiedziała się o utraconym dziecku. Nie była w stanie powstrzymać łez, ani przestać myśleć o życiu, jakie ją teraz czekało. Zbyt wiele bólu się z tym wiązało.

Po wielu godzinach wyplakała się jednak na tyle, że o jej smutku świadczyły jedynie wyschnięte łzy na policzkach. Wyjrzała przez okno, próbując oderwać od niego myśli. Odetchnęła głęboko.

Umbryjski krajobraz rozciągał się po widnokrąg, a z miejsca, w którym się znajdowała, wysoko na wzgórzu, widziała rozległe wzniesienia Asyżu. Na niebie wznosił się stojący w nowiu księżyc, rzucający dość światła, by mogła się przekonać, jak niezwykle piękny widok miała przed sobą. Widziała niewielkie, wiejskie chaty znaczące krajobraz plamkami, dym unoszący się z ich kominów i odczuła od razu, że był to jeden ze spokojniejszych okresów w historii.

Odwróciła się i rozejrzała po niewielkim pokoju, rozświetlonym blaskiem księżyca i jedną świecą płonąca na ściennym lichtarzyku. Całe pomieszczenie wykonane było z kamienia, a jedyną rzeczą tutaj było proste łóżko stojące w rogu. Nie mogła się nadziwić, że chyba było jej przeznaczone

za każdym razem lądować w klasztorze. To miejsce w żadnej mierze nie przypominało Pollepel, a jednak ta niewielka, średniowieczna cela przywodziła jej na myśl tę, w której mieszkała na wyspie. Jakby była zaprojektowana do przywoływania wspomnień.

Przyjrzała się gładkiej, kamiennej podłodze i zauważyła tuż przy oknie dwa niewielkie odciski oddalone od siebie o kilka cali, jakby wgłębienia po kolanach. Zastanawiała się, ile zakonnic modliło się tu, klęcząc pod oknem. Ta izba była świadkiem prawdopodobnie setek lat modłów.

Podeszła do małego łóżka i położyła się. Była to zaledwie kamienna płyta, pokryta najmniejszą możliwą ilością słomy. Próbowwała zająć wygodną pozycję, obracając się na bok – i wówczas coś poczuła. Sięgnęła ręką i wydobyła to. I uświadomiła sobie z radością, że był to jej dziennik.

Podniosła do góry szczęśliwa, że ma go przy sobie. Był jej starym, zaufanym przyjacielem, jej jedyną rzeczą, która wydawała się przetrwać podróż w czasie. Trzymając go, tę prawdziwą, namacalną rzecz, zdała sobie sprawę, że to wszystko nie było jednak snem. Naprawdę tu była. I wszystko, co się stało, było rzeczywiste.

Z jego stronic wyśliznął się i wylądował na jej kolanach nowoczesny długopis. Podniosła go i przyjrzała z namysłem.

O tak, postanowiła. Właśnie tego było jej trzeba. Musiała zająć się pisaniem. Przetworzyć to wszystko, co wydarzyło się tak szybko, że nie miała nawet czasu złapać tchu. Musiała

odtworzyć to wszystko jeszcze raz w swojej głowie, wrócić myślami do przeszłości i przypomnieć sobie. Jak się tu znalazła? Co się stało? Gdzie zmierzała?

Nie była pewna, czy sama знаła jeszcze odpowiedzi. Ale pisząc, miała nadzieję, że sobie przypomni.

Przewróciła kruche stronicę, aż dotarła do pustego miejsca. Wyprostowała się na łóżku, oparła o ścianę, przyciągnęła kolana do piersi i zaczęła pisać.

*

Jak ja się tutaj znalazłam? W Asyżu? We Włoszech? W roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym? Z jednej strony, wydaje się, że jeszcze niedawno byłam w dwudziestym pierwszym wieku, w Nowym Jorku, wiodąc życie zwykłego nastolatka. Z drugiej – wydaje się, jakby upłynęła od tego czasu wieczność... Od czego to wszystko się zaczęło?

Pamiętam, po pierwsze, napady głodu. Mój brak zrozumienia, czym były. Jonaha. Carnegie Hall. Moje pierwsze karmienie. Moją niewytłumaczalną przemianę w wampira. Nazwali mnie wtedy mieszańcem pół krwi. Czułam się tak źle, że chciałam umrzeć. Wszystko, na czym mi zależało, to być taka jak inni.

Potem pojawił się Caleb. Ocalił mnie, ratując przed zakusami złowrogiego klanu. I jego klan w Cloisters. Ale wyrzucili mnie, jako że związki między ludźmi i wampirami były zabronione. Znów zostałam sama ze sobą – przynajmniej do chwili, w której

Caleb uratował mnie drugi raz.

Moje poszukiwania ojca, mistycznego miecza, który mógł ochronić rasę ludzką przed wojną wampirów, które wiodły Caleba i mnie z jednego historycznego miejsca w drugie. Znaleźliśmy miecz, ale został nam odebrany. Jak zwykle, Kyle czekał tylko, żeby wszystko zniweczyć.

Ale wcześniej miałam czas zrozumieć, czym się staję. Caleb i ja zdażyliśmy się odnaleźć. Po tym, jak ukradli miecz, po tym, jak mnie dźgnęli, kiedy umierałam, Caleb przemienił mnie i ponownie uratował.

Jednak nie wszystko potoczyło się po mojej myśli. Zobaczyłam Caleba z jego byłą żoną, Serą i wyobraziłam sobie najgorsze. Myliłam się, ale było już za późno. Umknął daleko ode mnie, w sam środek niebezpieczeństwa. Doszłam do siebie na wyspie Pollepel. Trenowałam tam, zaprzyjaźniłam się z wampirami – tak bliskich przyjaciół nigdy jeszcze nie miałam. Zwłaszcza z Polly. I Blakiem – tyle tajemniczym, co i pięknym. Prawie skradł mi serce. Ale w porę się opanowałam. Dowiedziałam się, że jestem w ciąży i uświadomiłam sobie, że muszę odnaleźć Caleba i ocalić go od wojny wampirów.

Wyruszyłam, by go uratować, ale było już za późno. Sam, mój brat, oszukał mnie. Zdradził, kazał myśleć, że jest kimś innym. To z jego powodu myślałam, że Caleb tak naprawdę nie był Calebem, i go zabiłam – moją miłość. Mieczem. Własnymi rękoma. Nadal nie potrafię sobie wybaczyć.

Ale sprowadziłam Caleba z powrotem na Pollepel.

Próbowałam go ożywić, przywrócić do życia w jakikolwiek sposób. Powiedziałam Aidenowi, że zrobię wszystko, poświęcę wszystko. Spytałam, czy może wystać nas w przeszłość.

Aiden ostrzegł, że to może nie zadziałać. A gdyby jednak, to może się okazać, że nie będziemy ze sobą. Ale nalegałam. Musiałam.

I teraz oto jestem. Sama. W obcym miejscu i czasie. Moje dziecko stracone. Może i Caleb również.

Czy popełniłam błąd, przybywając tu?

Wiem, że muszę odszukać ojca, znaleźć Tarczę. Jednak bez Caleba u mego boku, nie wiem, czy znajdę w sobie siłę, by temu poddać.

Czuję się taka zdezorientowana. Nie wiem, co robić.

Proszę, Boże, pomóż mi...

*

Caitlin biegła ulicami Nowego Yorku, kiedy wielka, czerwona kula będąca słońcem zaczęła wschodzić nad horyzont. Była świadkiem istnej apokalipsy. Wszędzie leżały przewracane auta, porozrzucane zwłoki i różne inne oznaki spustoszenia. Biegła i biegła, pokonując kolejne alejki, które wydawały się nie mieć końca.

I kiedy tak biegła, świat jakby obrócił się nagle wokół własnej osi, a wraz z tym znikły budynki. Cały krajobraz uległ zmianie, aleje obróciły się w polne drogi, betonowy bezkres przeistoczył się

w rozległe wzgórza. Miała wrażenie, że cofa się w czasie, zostawia za sobą nowoczesność i wkracza w inny wiek. Czowała, że gdyby przyspieszyła, odnalazłaby swego ojca, tego prawdziwego, gdzieś tam na horyzoncie.

Przebiegała przez niewielkie wiejskie osady, które również obracały się w nicość.

Wkrótce jedyną rzeczą, która się ostała, było pole usłane białymi kwiatami. Kiedy wbiegła między nie, zauważyła z radością, że był tam, na horyzoncie, czekał. Jej ojciec.

Jak zwykle jego sylwetka odbijała się na tle słońca, tym razem jednak wydawał się bliższy niż zazwyczaj. Tym razem dostrzegła jego twarz, zarys jego ust. Uśmiechał się, czekając na nią z wyciągniętymi w jej kierunku ramionami. Chciał ją przytulić.

Dotarła do niego i objęła, a on przytulił ją mocno, trzymając przy swej umięśnionej piersi.

– Caitlin – powiedział tonem emanującym wielką miłością.
– Czy wiesz, jak jesteś blisko? Czy wiesz, jak bardzo cię kocham?

Zanim zdołała mu odpowiedzieć, zauważyła coś kątem oka. Zobaczyła Caleba stojącego na drugim końcu pola. Wyciągnął dłoń w jej stronę.

Postąpiła kilka kroków w jego kierunku, po czym zatrzymała się i spojrzała na ojca.

On również wyciągnął do niej dłoń.

– Odszukaj mnie we Florencji – powiedział ojciec.

Odwróciła się do Caleba.

– Odszukaj mnie w Wenecji – powiedział Caleb.

Patrzyła raz w jedną, raz w drugą stronę, rozdarta, nie mogąc zdecydować się, w którą stronę podążyć.

*

Poderwała się ze snu i usiadła prosto na łóżku. Była zdezorientowana.

W końcu uświadomiła sobie, że był to tylko sen.

Wschodziło słońce. Wstała, podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Asyż skąpany w porannym słońcu był taki spokojny, taki piękny. Na zewnątrz nie było jeszcze nikogo, z któregoś komina zaś sączył się dym. Wczesnoporanna mgła zawisła nad polami, niczym chmura, załamując słoneczne światło.

Odwróciła się gwałtownie, usłyszawszy skrzypienie. Spięta się na widok uchylających się drzwi do jej komnaty. Zacisnęła pięści, przygotowując się na wizytę niechcianego gościa.

Kiedy jednak drzwi otworzyły się szerzej, spojrzała w dół i jej oczy rozwarły się szeroko w zachwycie.

– Róża! – wrzasnęła.

Róża odepchnęła drzwi na całą szerokość, wbiegła do środka i skoczyła w ramiona Caitlin. Zaczęła lizać ją po całej twarzy, a Caitlin rozplakała się ze szczęścia.

Odciągnęła ją od siebie i obejrzała z wszystkich stron. Róża nabrała ciała, urosła.

– Jak mnie znalazłaś? – spytała Caitlin.

Róża zaskomlała i znów ją polizała.

Caitlin usiadła na krawędzi łóżka. Głaszcząc Różę pieśczeniwiie, zaczęła gorączkowo rozmyślać. Próbowała oczyścić umysł. Jeśli Róży się udało, być może Caleb również przeżył ich podróż w czasie. Ta myśl dodała jej otuchy.

Rozum podpowiadał, żeby udać się do Florencji. Kontynuować poszukiwania. Wiedziała, że to tam znajdzie odpowiedź, gdzie jest ojciec oraz Tarcza.

Serce ciągnęło ją jednak do Wenecji.

Jeśli istniała choćby niewielka szansa, że Caleb mógł tam być, musiała się upewnić. Po prostu musiała.

I podjęła decyzję. Objęła Różę mocno ramionami, wzięła krótki rozbieg i wyskoczyła przez okno.

Wiedziała, że odzyskała już siły i że jej skrzydła się rozwiną.

I rzeczywiście tak się stało.

Chwilę później szybowiała we wczesnym, porannym powietrzu ponad wzgórzami Umbrii, kierując się na północ, do Wenecji.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kyle przemierzał wąskie ulice antycznej dzielnicy Rzymu. Ludzie wokół zamykali sklepy, udając się na wieczorny spoczynek. Zachód słońca wyznaczał jego najbardziej ulubioną porę dnia. To wówczas czuł się najsilniejszy. Czuł, jak krew zaczynała mu szybciej pulsować, jak z każdym krokiem stawał się potężniejszy. Był niezmiernie szczęśliwy, że mógł znowu kroczyć tłumnymi ulicami Rzymu, zwłaszcza w tym stuleciu. Wciąż setki lat oddzielały tych żałosnych ludzi od jakiegokolwiek rodzaju techniki, sposobu monitorowania sytuacji. Mógł roznieść to miejsce na strzępy z lekkim sercem, nie obawiając się, że zostanie wykryty.

Skrecił w ulicę Via Del Seminario, która po kilku chwilach otworzyła się na wielki, antyczny plac Piazza Della Rotonda.

I ujrzał go przed sobą. Przystanął, zamknął oczy i odetchnął głęboko. Dobrze było znowu tu być. Wprost naprzeciwko znajdowało się miejsce, które przez setki lat nazywał swoim domem, jedna z najważniejszych na świecie siedzib wampirów: Panteon.

Górował, ku uciesze Kyle'a, tak jak zawsze – potężna, kamienna antyczna budowla, której tylna część wystawała w kształcie okręgu, a przód zwieńczony był olbrzymimi, imponującymi kamiennymi kolumnami. Za dnia wstęp do budynku mieli turyści, nawet w tym stuleciu. Przybywały tu

niewyobrażalne tłumy ludzi.

Lecz nocą, kiedy drzwi za zwiedzającymi zostały zamknięte, gromadzili się tłumnie prawdziwi właściciele, rzeczywiści mieszkańcy tych ścian: Wielka Rada Wampirów.

Ze wszystkich zakątków świata przybywali tłumnie członkowie wszelkich wampirzych klanów, by uczestniczyć w obradach, trwających często przez całą noc. Rada rozstrzygała w każdej sprawie, wydawała pozwolenia, albo je cofała. Nic w wampirzym świecie nie działo się bez ich wiedzy ani, w większości przypadków, bez ich aprobaty.

Wszystko układało się idealnie. W pierwotnym zamyśle budowla miała być świątynią ku czci pogańskich bóstw. Od wieków służyła jako miejsce oddawania czci, odbywania zebrań, służące mrocznym siłom wampirów. Dla każdego, kto potrafił patrzeć, było to oczywiste: ody na cześć pogańskich bogów, freski, malowidła i posągi były wszędzie. Każdy człowiek, każdy turysta, który zadałby sobie trud odczytania przesłania tego miejsca, zdałby sobie sprawę, jakie jest wyjątkowe, rzeczywiste jego przeznaczenie.

A gdyby to nie miało wystarczyć, to tutaj pochowane zostały wszystkie wielkie wampiry. W tym tętniącym życiem mauzoleum, idealnym miejscu, które Kyle i jemu podobni mogli nazwać domem.

Kiedy wchodził po schodach, poczuł, jakby wracał do domu. Wszedł na górę, bezpośrednio pod olbrzymie, żelazne, dwuskrzydłowe drzwi frontowe, uderzył metalową kołatką

czterokrotnie – dając przyjęty przez wampiry sygnał – i czekał.

Chwilę później ciężkie drzwi uchyliły się na kilka cali i Kyle dostrzegł nieznaną sobie twarz. Drzwi otworzyły się szerzej, na tyle, by Kyle zdołał wejść, i zamknęły się zaraz za nim z hukiem.

Olbrzymi strażnik, większy nawet od niego, spojrzał na niego w dół.

– Oczekują cię? – spytał z rezerwą.

– Nie.

Ignorując strażnika, Kyle zrobił kilka kroków w kierunku sali, kiedy nagle poczuł na ramieniu lodowato zimny uścisk i się zatrzymał. Zagotowało się w nim z wściekłości.

Wampirzy strażnik spojrzał na niego równie rozeźlony.

– Nikt nie wchodzi bez umówionego spotkania – warknął.

– Będziesz musiał stąd odejść i wrócić innym razem.

– Wejdem tam, gdzie mam ochotę – syknął Kyle. – A jeśli nie weźmiesz ręki z mojego ramienia, nacierpisz się i to bardzo.

Strażnik zmierzył go wzrokiem. Znaleźli się w impasie.

– Jak widzę, niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają – dobiegł ich czyjś głos. – W porządku. Możesz go wpuścić.

Kyle poczuł, że uścisk zelżał. Odwrócił się i ujrzał znajomą twarz: był to Lore, jeden z głównych doradców Rady. Stał, wpatrując się w Kyle'a, uśmiechając się i kręcąc głową powoli.

– Kyle – powiedział. – Nigdy nie myślałem, że cię jeszcze kiedykolwiek zobaczę.

Kyle wygładził marynarkę, wciąż pałając gniewem do strażnika i skinął głową powoli.

– Mam sprawę do Rady – powiedział. – Która nie może czekać.

– Przykro mi, stary druhu – ciągnął Lore. – Dzisiejszy porządek jest już w pełni rozplanowany. Niektórzy czekali od miesięcy. Wygląda na to, że z każdego zakątku wampirzego świata przybył ktoś z nagłą sprawą. Jeśli jednak wrócisz w przyszłym tygodniu, to sądzę, że będę w stanie cię uwzględnić–

Kyle postąpił do przodu.

– Nie rozumiesz – powiedział nerwowo. – Nie przybyłem z tego czasu. Wróciłem z przyszłości. Dwieście lat w przód. Z zupełnie innego świata. Nadeszła pora Sądu Ostatecznego. Jesteśmy u progu zwycięstwa, całkowitego triumfu. I jeśli nie spotkam się z nimi w tej chwili, konsekwencje będą poważne dla nas wszystkich.

Spoglądając na niego, Lore zdał sobie sprawę z powagi chwili i jego mina zrzędała; w końcu, po kilku chwilach pełnej napięcia ciszy, odchrząknął.

– Chodź za mną.

Odwrócił się i oddalił wielkimi krokami. Kyle podążył za nim, idąc krok w krok.

Minął długi, szeroki korytarz i po chwili wszedł do potężnej, otwartej sali. Była ogromna, przestronna, z pnącym się wysoko, kolistym stropem i marmurową, lśniąca posadzką. W kształcie przypominała okrąg, którego skraj wypełniały ozdobne kolumny i wzniesione na cokółach posągi spoglądające do wnętrza sali.

Setki wampirów, przedstawicieli najprzeróżniejszych ras i

poglądów, stały na uboczu, czekając. Kyle wiedział, że oni wszyscy byli podobnymi mu najemnikami, równie złymi, jak on sam. Cierpliwie obserwowali zasiadającą w ławie na odległym końcu sali Wielką Radę ferującą wyroki. Czuł panujące w otoczeniu napięcie.

Wszedł do środka, chłonąc wszystko naraz. Powiadomienie Rady było właściwą rzeczą. Mógł zignorować ją, zapolować na Caitlin we własnym zakresie, lecz Rada miała niezbędne informacje, mogła skierować go prosto do niej. Co ważniejsze, potrzebował ich oficjalnej aprobaty. Odszukanie Caitlin nie było sprawą osobistą. Miało ogromne znaczenie dla całej wampirzej rasy. Gdyby Rada go poparła, a miał przeczucie, że właśnie tak będzie, nie tylko otrzymałby ich zgodę, ale również dostęp do ich zasobów. Mógłby zabić ją szybciej i szybciej wrócić do domu, by dokończyć swoją wojnę.

Bez ich aprobaty byłby tylko kolejnym łotrem, wyrachowanym wampirem. Kyle nie miał z tym problemu, jednak nie chciał cały czas oglądać się za siebie: bez usankcjonowania jego postępowania, Rada mogłaby wysłać wampiry, by go zabiły. Był przekonany, że sobie poradzi, ale nie chciał marnować ani sił, ani czasu.

Gdyby jednak odrzucili jego żądania, był w pełni gotów zrobić wszystko, co było trzeba, żeby ją wytropić.

Była to ostatecznie jeszcze jedna formalność w niekończącym się potoku wampirzych ceremoniałów. Owa etykieta była spoiwem, które trzymało je razem – ale również niesamowicie

go irytowała.

Wchodząc coraz głębiej do sali, przyjrzał się członkom Rady. Wyglądali dokładnie tak, jak ich zapamiętał. Dwunastu sędziów Wielkiej Rady zasiadało na podwyższeniu w odległym krańcu sali, odziani w surowe, czarne szaty, z zarzuconymi na głowę i zakrywającymi ich twarze czarnymi kapturami. Pomimo to, Kyle wiedział, kim byli ci mężczyźni. Spotkał ich wielokrotnie na przełomie stuleci. Raz, tylko jeden raz, opuścili kaptury i pokazali mu swe groteskowe, wykrzywione wiekiem twarze, oblicza, które chodziły po tej ziemi od tysiący lat. Aż wzdrygnął się na wspomnienie o tym. Byli szkaradnymi stworzeniami zrodzonymi przez noc.

Mimo to, byli też Wielką Radą sprawującą urząd za jego czasów, rezydującą w tym miejscu od samego początku, od kiedy wzniesiono Panteon. Budowla była w zasadzie częścią ich samych i nikt, wliczając w to nawet Kyle'a, nie śmiał sprzeciwić się ich werdyktom. Ich moce były po prostu zbyt wielkie, a środki, pozostające do dyspozycji na każde skinienie palca, zbyt szerokie. Kyle może i zdołałby zabić jednego lub dwóch z nich, ale armie, które wezwałiby z wszystkich krańców ziemi, w końcu by go wytropiły i zniszczyły.

Setki wampirów zgromadzonych na sali przybyły, by wysłuchać wyroków Rady, ale też, by oczekiwać na audiencję. Zawsze równo ustawieni wzdłuż krańców okręgu, stali w gotowości, pozostawiając jego wnętrze całkowicie opustoszałe. Z wyjątkiem jednej osoby. Zawsze tej, która akurat miała

potrzebę stanąć przed nimi i wysłuchać ich werdyktu.

Właśnie w tej chwili stała tam, naprzeciwko nich, jakaś nieszczęsna dusza, samotna, trzęsąca się ze strachu, wpatrująca się w ich nieprzeniknione kaptury i oczekująca ich wyroku. Kyle stał już kiedyś w tym miejscu. Do przyjemności to nie należało. Jeśli nie spodobała im się sprawa, z którą się do nich zgłosiłeś, mogli ni z tego, ni z owego zabić cię na miejscu. Z lekkim sercem przed Radą się nie stawiało – była to zazwyczaj sprawa życia i śmierci.

– Poczekaj tutaj – wyszeptał Lore i oddalił się, znikając w tłumie. Kyle stał na uboczu, obserwując.

W pewnej chwili zauważył, jak jeden z sędziów skinął nieznacznie, ledwie zauważalnie i z obu stron pojawili się żołnierze. Chwycili ręce mężczyzny stojącego naprzeciw Rady.

– Nie! NIE! – wrzasnął.

Ale na nic to się zdało. Odciągnęli go na bok krzyczącego i wierzgającego, świadomego tego, że prowadzili go na śmierć, że cokolwiek powie, czy zrobi, nie pomoże mu już w niczym. Kiedy wrzaski wampira odbiły się echem od ścian sali, Kyle zdał sobie sprawę, że mężczyzna musiał poprosić o coś, na co Rada nie wyraziła zgody. W końcu otworzyły się drzwi, mężczyzna został wyprowadzony na zewnątrz i drzwi zatrzasnęły się za nim. Na sali zapanowała na powrót cisza.

Kyle wyczuwał panujące w powietrzu napięcie. Wampiry spoglądały na siebie nawzajem, obawiając się chwili, kiedy przyjdzie kolej na ich posłuchanie.

Kyle zauważył, jak Lore podszedł do strażnika stojącego w pobliżu Rady i wyszeptał mu coś do ucha. Ten podszedł z kolei do jednego z sędziów, uklęknął i wyszeptał mu do ucha.

Sędzia obrócił głowę ledwie co, a mężczyzna wskazał wprost na Kyle'a. Nawet z tak dużej odległości Kyle poczuł jak oczy sędziego, skryte pod kapturem, prześwidrowały go. Wbrew sobie poczuł, jak przeszył go dreszcz. Ostatecznie stanął w obecności prawdziwego zła.

Strażnik skinął głową, dając tym Kyle'owi sygnał.

Kyle przepchał się przez tłum i podszedł na sam środek sali – na to miejsce. Wiedział, że gdyby podniósł wzrok, to bezpośrednio nad swoją głową ujrzałby oculus, okrągły otwór w stropie. Za dnia wpadała nim do wnętrza wiązka słonecznego światła; teraz jednak, o zachodzie słońca, światło było przytłumione, bardzo słabe. Wnętrze sali rozjaśniały głównie płonące wszędzie pochodnie.

Kyle uklęknął i uklonił się, czekając, aż zwróci się do niego zgodnie z właściwą wampirzą etykietą.

– Kyle'u z klanu Blacktide – wymówił powoli jeden z sędziów. – Masz czelność zwracać się do nas bez uprzedzenia. Jeśli twoja prośba spotka się z naszą odmową, wiesz, że ryzykujesz narażeniem się na karę śmierci.

To nie było pytanie; raczej oświadczenie. Kyle wiedział, jakie były konsekwencje. Ale nie bał się wyniku tego spotkania.

– Jestem tego świadomy, mój mistrzu – odparł zwyczajnie i czekał dalej.

W końcu usłyszał jakiś szelest, po czym kolejne oświadczenie:

– Zatem przemów. Czego od nas oczekujesz?

– Przybyłem z innych czasów. Okresu, który będzie miał miejsce za dwieście lat.

Na sali rozległo się głośne szemranie. Strażnik uderzył laską o posadzkę trzykrotnie i wrzasnął:

– Cisza!

W końcu zgromadzeni na sali ucichli.

Kyle kontynuował.

– Nie podejmuję podróży w czasie pochopnie. Podobnie zresztą jak żaden z nas. Zmusił mnie do tego nagły wypadek. W przyszłości, w czasach, w których żyję, wybuchnie wojna – wspaniała wojna wampirów. Rozpocznie się w Nowym Jorku i stamtąd rozprzestrzeni się na cały świat. Prawdziwa, wampirza apokalipsa, o której wszyscy marzyliśmy. Nasz rodzaj w końcu zwycięży. Zetrzemy na proch i zniewolimy całą ludzką rasę. Pozbędziemy się również życzliwych klanów wampirów, każdego, kto stanie na naszej drodze.

– Wiem to, gdyż stoję na czele działań wojennych.

Podniósł się kolejny głośny pomruk, po czym rozbrzmiało uderzenie laski o podłogę.

– Moja wojna nie jest jednak skończona – krzyknął Kyle ponad wrzawą. – Pozostaje jedna sprawa będąca mi solą w oku; jedna osoba, która może zniszczyć wszystko to, co osiągnęliśmy, zaprzepaścić wspaniałą przyszłość naszej rasy. Wywodzi się z wyjątkowego rodu. Cofnęła się w czasie najprawdopodobniej

po to, by umknąć przede mną. Przybyłem tu, by ją odnaleźć i zabić raz na zawsze. Do tego momentu przyszłość nas wszystkich pozostanie niepewna.

– Staję tu dziś przed wami z prośbą o pozwolenie na jej zabicie, tu, na waszym terytorium i w waszych czasach. Jak również proszę o waszą pomoc w odszukaniu jej.

Po czym spuścił głowę i czekał. Serce biło mu szybciej, kiedy tak stał i czekał. Oczywiście, w ich interesie leżało pomóc mu. Nie widział żadnego powodu, by mieli postąpić inaczej. Z drugiej strony jednak stwory te, żyjące od pradawnych czasów, starsze nawet od niego samego, były całkiem nieprzewidywalne. Nigdy nie było wiadomo, co ta dwunastka miała w planach, a ich decyzje zdawały się równie przypadkowe, co poddmuchy wiatru.

Czekał pośród głuchoj ciszy.

W końcu usłyszał, jak ktoś odchrząknął.

– Wiemy, oczywiście, o kim mówisz – przemówił jeden z sędziów chropawym głosem. – O Caitlin. O tym, z czego powstanie klan Pollepel. Ale która w rzeczywistości wywodzi się z innego, o wiele potężniejszego klanu. Tak, wczoraj przybyła w nasze czasy. Oczywiście, że o tym wiemy. I gdybyśmy sami chcieli ją zabić, czy nie sądzisz, że już by do tego doszło?

Kyle dobrze wiedział, że nie należało odpowiadać. Chcieli poczuć odrobinę własnej dumy. A on miał zamiar jedynie pozwolić im dokończyć przemowę.

– Ale istotnie podziwiamy twoją determinację, i wojnę w przyszłości – ciągnął dalej sędzia. – O tak, jesteśmy pełni

podziwu.

Na sali zaległa trwająca następną chwilę cisza.

– Pozwolimy ci ją wyśledzić, ale jeśli ją znajdziesz, nie zabijesz jej. Pojmiesz ją żywą i przyprowadzisz do nas. Wolimy sami napawać się jej śmiercią, patrzeć jak umiera powoli. Będzie idealną kandydatką do Igrzysk.

Kyle poczuł, jak wszystko zagotowało się w nim z wściekłości. Igrzyska. Oczywiście. Tylko na tym zleżało tym obrzydliwym, starym wampirem. Już sobie przypomniał. Przerobili Koloseum na arenę, na której odbywały się konkurencje, gdzie wystawiali do walki wampiry przeciwko wampirem; przeciwko ludziom i zwierzętom i z uwielbieniem przypatrywali się, jak zawodnicy rozrywają się na strzępy. Był to przejaw ich okrucieństwa, które Kyle w jakiejś mierze sam podziwiał.

Ale nie tego chciał dla Caitlin. Chciał, by nie żyła. Kropka. Nie żeby miał coś przeciwko jej torturom. Ale nie chciał marnować czasu, ani dawać jej jakiegokolwiek szansy. Oczywiście nikt jeszcze nigdy nie przeżył Igrzysk. Ale jednocześnie nigdy nie było wiadomo, co może się zdarzyć.

– Ależ, moi mistrzowie – zaprotestował. – Jak sami stwierdziliście, Caitlin wywodzi się z potężnego rodu i stanowi o wiele większe zagrożenie i jest o wiele bardziej nieuchwytna, niż moglibyście to sobie wyobrazić. Proszę o waszą zgodę na jej natychmiastowe zgładzenie. Mamy zbyt dużo do stracenia...

– Nadal jesteś młody – powiedział inny sędzia – i dlatego

wybaczymy ci próbę odgadnięcia naszej oceny sytuacji. Każdego innego zabilibyśmy na miejscu.

Kyle zwiesił głowę. Zdał sobie sprawę, że się zagalopował. Nikt nigdy nie kwestionował postanowień sędziów.

– Przebywa w Asyżu. To tam się teraz udasz. Pospiesz się i nie zwlekaj. W zasadzie, teraz, kiedy już o tym wspomniałeś, z niecierpliwością oczekujemy, by zobaczyć jej śmierć na własne oczy.

Kyle odwrócił się, by odejść.

– I Kyle – zawołał jeden z nich.

Kyle odwrócił się na pięcie.

Główny sędzia zdjął kaptur, ukazując najbardziej groteskowa twarz, jaką Kyle widział w całym swoim życiu – pokrytą w całości guzami, brodawkami i zmarszczkami. Otworzył usta i uśmiechnął się szkaradnie, pokazując pożółkłe, ostre zęby i błyszczące czarne oczy. Wyszczrzył się jeszcze bardziej i powiedział:

– Następnym razem, kiedy pojawisz się bez uprzedzenia, to ty zginiesz powolną śmiercią.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Caitlin szybowała nad sielankowym umbryjskim krajobrazem, mijając wzgórza i doliny, lustrując porośnięty bujną roślinnością zielony horyzont iskrzący się w porannym słońcu. Pod sobą widziała ciągnące się niewielkie osady, małe chaty otoczone setkami akrów ziemi i dym ulatujący z kominów.

Kiedy skierowała się na północ, krajobraz zmienił się. Leciła teraz nad wzgórzami i dolinami Toskanii. Jak daleko okiem sięgnąć, widziała winnice pnące się po wzgórzach i pracowników w wielkich, słomianych kapeluszach uwijających się o tej wczesnej porannej porze przy winoroślach. Był to niesamowicie piękny kraj. Caitlin żałowała po części, że nie może wylądować gdzieś tutaj, osiąść na stałe, zadomowić się w jednej z tych niewielkich chat.

Ale miała zadanie do wykonania. Leciła dalej, coraz dalej na północ, mocno trzymając zwiniętą w kłębek za jej koszulą Różę. Czuła, że Wenecja jest coraz bliżej, jakby przyciągała ją niczym magnes. Im bliżej miasta była, tym szybciej biło jej zniecierpliwione serce; już w tym momencie wyczuwała obecność osób, które kiedyś знаła. Nadal nie wiedziała dokładnie kogo. Nadal nie potrafiła wyczuć, czy był tam Caleb, ani też, czy był chociaż żywy.

Zawsze marzyła o wyjeździe do Wenecji. Widziała obrazki z kanałami, gondolami i wyobrażała sobie, że kiedyś tam pojedzie,

być może z kimś, kogo będzie kochała. Wyobraziła sobie nawet, że ktoś poprosi ją o rękę na jednej z tych gondoli. Ale nigdy nie przypuszczała, że odbędzie się to w ten sposób.

Kiedy tak leciała, zbliżając się coraz bardziej, uderzyło ją, że Wenecja, którą teraz, w roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym, chciała odwiedzić, mogła znacznie różnić się od tej, którą widziała na obrazkach z dwudziestego pierwszego wieku. Zapewne tak było. Wyobraziła ją sobie mniejszą, nie tak rozwiniętą, przypominającą bardziej wieś. Pomyślała też, że nie będzie tak zatłoczona.

Wkrótce uświadomiła sobie, że nie mogła bardziej się mylić.

Kiedy w końcu dotarła na obrzeża Wenecji, była w szoku zobaczywszy, nawet z tej wysokości, że miasto było uderzająco podobne do tego, którego obrazki widziała w dwudziestym pierwszym wieku. Rozpoznała historyczną, słynną architekturę, wszystkie małe mosty, te same wijące się uliczki prowadzące do kanałów. Istotnie, doznała wstrząsu, kiedy uświadomiła sobie, że Wenecja z tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego roku nie różniła się, przynajmniej na zewnątrz, od tej z dwudziestego pierwszego wieku.

Im więcej o tym myślała, tym większego sensu to nabierało. Wenecka architektura liczyła sobie nie sto, czy dwieście lat: była starsza o całe setki lat. Przypomniła sobie zajęcia z historii w jednej z wielu swoich szkół średnich na temat Wenecji, niektórych jej kościołów zbudowanych w dwunastym wieku. Pożałowała teraz, że nie słuchała wtedy uważniej. Znajdująca

się poniżej Wenecja, rozwlekła, zabudowana niezliczonymi budowlami, nie była nowym miastem. Nawet w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym roku liczyła kilka setek lat.

Caitlin pocieszył ten fakt. Wyobraziła sobie, że rok tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty będzie wyglądał jak z innej bajki. Z ulgą stwierdziła, że niektóre rzeczy w zasadzie nie zmieniły się tak bardzo. W znacznej mierze było to to samo miasto, które mogłaby zobaczyć w dwudziestym pierwszym wieku. Jediną rzucającą się od razu w oczy różnicą było to, że wodne trakty miasta pozbawione były oczywiście wszelkich łodzi motorowych. Nie było tu żadnych motorówek, żadnych promów, statków wycieczkowych. Zamiast tego, kanały wypchane były po brzegi wielkimi żaglowymi łodziami, których maszty pięły się na dziesiątki stóp w górę.

Zdziwiła ją również obecność tłumów. Zniżyła lot do zaledwie setki stóp nad ulicami miasta i zauważyła, że nawet o tej wczesnej, porannej porze ulice były pełne ludzi. A wodne trakty całkowicie znikły pod natłokiem łodzi. Była w szoku. Miasto było bardziej zatłoczone niż Times Square. Zawsze wyobrażała sobie, że cofając się w czasie, spotka mniej ludzi, mniejsze tłumy. Wyglądało na to, że również i w tym nie miała racji.

Kiedy przeleciała nad miastem i zaczęła okrążyć je kilka razy, rzeczą, która zadziwiła ją najbardziej był fakt, że Wenecja nie była jednym miastem, jedną wyspą – ale rozpościerała się na wielu wyspach, dziesiątkach wysp ciągnących się w różnych kierunkach, ze skupiskiem budowli na każdej z nich, tworzących

odrębne miasteczka. Wyspa, na której leżała Wenecja, miała wyraźnie najwięcej budynków i była najgęściej zabudowana. Dziesiątki pozostałych wysp zdawały się jednak połączone ze sobą, tworząc istotną część miasta.

Inną rzeczą, która ją zadziwiła była barwa wody: jarząca się błękitem aqua. Była taka jasna, tak osobliwa, niczym woda, którą spodziewałaby się ujrzeć gdzieś na Karaibach.

Kiedy wykonywała kolejne okrążenia nad wyspami, próbując zorientować się w sytuacji, podjąć decyzję, gdzie wylądować, poczuła żal do samej siebie, że nigdy nie zwiedziła tego miejsca w dwudziestym pierwszym wieku. No cóż, przynajmniej teraz miała okazję to zrobić.

Czuła się również nieco przytłoczona. Miasto zdawało się takie potężne i rozciągnięte. Nie miała pojęcia, gdzie wylądować, gdzie powinna rozpocząć poszukiwania ludzi, których kiedyś знаła – jeśli w ogóle gdzieś tutaj byli. Jak głupia, wyobraziła sobie, że Wenecja będzie mniejsza, bardziej staroświecka. Nawet z takiej odległości była w stanie stwierdzić, że mogłaby chodzić ulicami miasta przez wiele dni i nadal nie przemierzyć go w całości.

Zorientowała się, że nigdzie na wyspie, na której położona była ta właściwa Wenecja, nie było miejsca, w którym mogłaby wylądować, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Było tam zbyt tłoczno i nie było jak zbliżyć się, nie zwracając na siebie uwagi. Nie chciała wywołać sobą tego rodzaju zainteresowania. Nie miała pojęcia, jakie inne klany tam były, ani jak silny był

ich instynkt terytorialny. Nie wiedziała też, czy są życzliwi, czy źli, ani czy tutejsi ludzie, podobnie do tych z Asyżu, również wypatrywali wampirów i byli gotowi ruszyć za nią na łowy. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała, był kolejny, uganiający się za nią tłum.

Zdecydowała się wylądować na stałym lądzie, z dala od wyspy. Zauważyła potężne łodzie pełne ludzi, które zdawały się wyruszać właśnie ze stałego lądu i pomyślała, że był to najlepszy pierwszy etap jej wizyty. Przynajmniej łodzie zabiorą ją bezpośrednio do serca miasta.

Wylądowała niepostrzeżenie za kępą drzew na stałym lądzie, niedaleko od łodzi. Posadziła Różę na ziemi, a ta natychmiast czmychnęła w najbliższe krzaki za potrzebą. Kiedy skończyła, podniosła pyszczek, spojrzała na Caitlin i zaskomlała. Caitlin dostrzegła w oczach Róży, że była głodna i współczuła jej. Sama również była głodna.

Lot zmęczył ją. Zdała sobie sprawę, że jednak nie odzyskała jeszcze pełni sił. Uświadomiła sobie również, że zgłodniała. Musiała nasycić swój głód. Ale nie ludzką krwią.

Rozejrzała się dokoła, lecz nie dostrzegła nigdzie żadnego jelenia. Nie było czasu na polowanie. Z łodzi odezwał się głośny gwizd i zrozumiała, że za chwilę odbije od brzegu. Musiały poczekać. Ona i Róża. I zaspokoić głód później.

Ze ściśniętym sercem zateęskniła za domem, za bezpieczeństwem i otuchą, które czuła na Pollepel, za obecnością Caleba, jego wskazówkami, jak ma polować, jego radami. U

jego boku zawsze miała wrażenie, że wszystko będzie dobrze. Teraz jednak, kiedy była sama, nie była już tego taka pewna.

*

Podeszła razem z Różą do najbliższej łodzi. Była to wielka, zagłowa łódź z długą, umocowaną na linie rampą, prowadzącą wprost na brzeg. Kiedy podniosła wzrok, zauważyła,

że łódź była wyładowana ludźmi po brzegi. Ostatni pasażerowie właśnie wspinali się po rampie. Caitlin pospieszyła z Różą w tym kierunku, chcąc zdążyć przed odbiciem łodzi. Ale zaskoczyła ją wielka, umięśniona dłoń, która pacnęła ją mocno w klatkę piersiową i zatrzymała w miejscu.

– Bilet – odezwał się czyjś głos.

Caitlin obejrzała się i zauważyła dużego, muskularnego mężczyznę, który spoglądał na nią z góry. Był nieokrzesany, nieogolony i cuchnął nawet z takiej odległości.

Caitlin poczuła narastającą w sobie złość. Była spięta z powodu głodu i miała mu za złe, że zatrzymał ją ręką w ten sposób.

– Nie mam – warknęła. – Nie możesz po prostu nas wpuścić?

Mężczyzna potrząsnął jedynie głową zdecydowanie i odwrócił się, całkowicie ją ignorując. – Bez biletu nie popłyniesz – powiedział.

Wezbrała w niej jeszcze większa złość, ale zmusiła się, by przypomnieć sobie Aideną. Co on by jej powiedział? *Oddychaj*

głęboko. Rozluźnij się. Użyj umysłu, nie ciała. Napomniałaby ją, że jest silniejsza od tego człowieka. Powiedziała, żeby się skoncentrowała. Skupiła. By użyła swych *wewnętrznych* talentów.

Zamknęła oczy i spróbowała skupić się na oddychaniu. Spróbowała zebrać myśli, skierować je w stronę tego mężczyzny.

Wpuścisz nas na łódź, powiedziała siłą woli. Zrobisz to bez pobrania od nas opłaty.

Otworzyła oczy, oczekując, że będzie nadal tam stał i zaproponuje jej wejście na pokład. Ku jej rozczarowaniu nie zrobił tego. Nadal ignorował ją, rozwiązując ostatnią linę.

To nie działało. Albo straciła moc kontrolowania umysłu, albo jeszcze w pełni jej nie odzyskała. A może była zbyt wykończona, nie skupiła się dostatecznie.

Nagle przypomniała sobie coś. Jej kieszenie. Przeszukała je szybko, zastanawiając się, co wzięła ze sobą z dwudziestego pierwszego wieku, jeśli w ogóle cokolwiek. Znalazła i z ulgą stwierdziła, że był to dwudziestodolarowy banknot.

– Masz – powiedziała, wręczając go mężczyźnie.

Wziął go, zgniótł, podniósł do góry i przyjrzał uważnie.

– Co to ma być? – zapytał. – Nie znam tego.

– To dwudziestodolarowy banknot – wytłumaczyła Caitlin, zdając sobie jednocześnie sprawę, jak głupio zabrzmiały jej słowa. Oczywiście. Jakże *mógł* go rozpoznać? Przecież był amerykański. I miał się pojawić dopiero za dwieście lat.

Z ukłuciem strachu zdała sobie sprawę, że wszystkie

pieniądze, jakie akurat przy sobie miała, były tu całkiem bezużyteczne.

– Śmiecie – powiedział i wcisnął jej pieniądze z powrotem do dłoni.

Obejrzała się i z ukłuciem strachu zauważyła, że odwiązywali liny, że łódź miała za chwilę wyruszyć. Namysliła się szybko, ponownie sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła jakieś drobne. Przeszukała je wzrokiem, wyjęła dwudziestopięciocentówkę, wyciągnęła dłoń i podała ją mu.

Wziął z większym zainteresowaniem i podniósł do światła. Mimo to jednak nie był przekonany.

Wepchnął monetę z powrotem w jej dłoń.

– Wróć z prawdziwymi pieniędzmi – powiedział; równocześnie spojrzął na Różę i dodał – i żadnych psów.

Myślami powróciła do Caleba. Może tam był, tuż poza jej zasięgiem, na wyspie Wenecji, zaledwie jeden kurs łodzią od niej. Poczowała wściekłość, że mężczyzna powstrzymywał ją od spotkania się z nim. Miała pieniądze – tyle, że nie *jego* akurat. Poza tym, jego łódź wyglądała na ledwie zdatną do żeglugi i była wyładowana setkami ludzi. Czy jeden dodatkowy bilet mógł robić aż tak wielką różnicę? To po prostu nie było w porządku.

Kiedy wcisnął jej pieniądze do ręki, nagle ścisnął swoją wielką, spoconą łapą jej nadgarstek. Łypnął okiem w dół i na jego twarzy pojawił się wielki, krzywy uśmiezek. Zobaczyła jego niepełne uzębienie i poczuła smród płynący z jego ust.

– Jeśli nie masz pieniędzy, zapłacisz mi inaczej – powiedział,

uśmiechając się w jeszcze bardziej odrażający sposób. Jednocześnie podniósł dłoń i dotknął jej policzka.

Zadziałała odruchowo. Podniosła rękę i pacnęła go mocno, po czym wykręciła swój nadgarstek z jego objęcia. Jej własna siła zadziwiła ją.

Spojrzał na nią, najwidoczniej zaszokowany, że tak niepozorna dziewczynka miała w sobie tyle siły. Jego uśmiech zastąpił grymas oburzenia i niezadowolenia. Zebrał ślinę i plunął wprost pod nogi. Caitlin spuściła wzrok, zauważyła, że plwocina wylądowała na jej butach, i poczuła odrazę.

– Ciesz się, że cię nie pociachałem – burknął, po czym odwrócił się do niej plecami obcesowo i wrócił do rozwiązywania lin.

Caitlin poczuła, jak wzbiera w niej złość, pokrywając policzki purpurą. Czy faceci wszędzie byli tacy sami? W każdym stuleciu i każdym wieku? Czy była to zapowiedź tego, jak traktowano kobiety obecnie w tym miejscu? Przyszły jej na myśl wszystkie inne kobiety, które musiały żyć w tych czasach, znosić to wszystko i poczuła narastającą wściekłość. Miała wrażenie, że powinna stanąć w obronie ich wszystkich.

Nadal stał nachylony, rozwiązując liny, więc odchyliła się prędko i z całych sił kopnęła prostaka prosto w tyłek. Uderzenie odrzuciło go w powietrze nad polerem, głową do przodu, wprost do znajdującej się piętnaście stóp niżej wody. Wylądował w niej z głośnym pluskiem.

Caitlin wbiegła szybko po linowej rampie razem z Różą u

boku i wcisnęła się na wielką, zagłową łódź wyładowaną ludźmi po brzegi.

Stało się to tak szybko, że miała nadzieję, iż nikt niczego nie zauważył. I chyba właśnie tak było, ponieważ chwilę później załoga wciągnęła na pokład linową kładkę i łódź zaczęła odbijać od brzegu.

Caitlin podbiegła do burty i spojrzała w dół: zauważyła go, jak taplając się w wodzie i wynurzając co chwila głowę, uniósł pięść w kierunku łodzi.

– Zatrzymać łódź! Zatrzymać łódź! – wrzasnął.

Jego krzyki utonęły jednak we wrzawie wiwatujących z powodu wyruszenia w podróż ludzi.

Ktoś z załogi zauważył go jednak i podbiegł na stronę łodzi, podążając za wskazującym Caitlin palcem mężczyzny.

Nie czekała, żeby zobaczyć, co się stanie. Szybko wcisnęła się w gęsty tłum razem z Różą, meandrując i wykręcając raz w tę, raz w drugą stronę, aż w końcu dotarła głęboko w sam środek łodzi, w ciasny gąszcz ludzkiej masy. Przepychała się dalej, cały czas pozostając w ruchu. Setki ludzi cisnęły się ze sobą, a ona miała nadzieję, że dzięki temu jej nie zauważą, ani Róży.

W kilka minut łódź nabrała prędkości. Caitlin odetchnęła wreszcie głęboko. Zdała sobie sprawę, że nikt za nią nie szedł, a nawet, na tyle, na ile mogła stwierdzić, nikt jej nie szukał.

Zaczęła przeciskać się przez tłum z większym spokojem, z Różą u boku, zmierzając na odległy kraniec łodzi. W końcu udało się i, wcisnąwszy się przy zatłoczonym relingu, oparła się

o poręcz i wyjrzała na zewnątrz.

W oddali zobaczyła wciąż kołyszącego się na wodzie mężczyznę, który właśnie dopłynął do brzegu i zaczął podciągać się na nabrzeże. W tej chwili wydawał się już tylko niewielką kropką na horyzoncie. Uśmiechnęła się. Dobrze mu tak.

Popatrzyła w drugą stronę i prosto przed sobą zobaczyła wyłaniającą się zza widnokregu Wenecję.

Uśmiechnęła się szerzej, oparła wygodniej na relingu i poczuła, jak chłodna morska bryza zaczęła rozwiewać jej włosy. Był ciepły, majowy dzień. Temperatura była w sam raz, a słońce powietrze działało orzeźwiająco. Róża podskoczyła i, oparłszy łapy o reling, również wyjrzała na zewnątrz i wciągnęła powietrze.

Caitlin uwielbiała łodzie od zawsze. Nigdy nie zwiedziła autentycznego, historycznego statku żaglowego – nie mówiąc o żeglowaniu na takowym. Uśmiechnęła się i poprawiła w myślach: to jeszcze nie był historyczny statek. Był nowoczesny. Jak na tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty rok przystało. Niemal wybuchnęła głośnym śmiechem, rozbawiona tą myślą.

Podniosła wzrok na wysokie, drewniane maszty pnące się do nieba. Obserwowała, jak marynarze uwieszeni na grubych linach podnosili powoli wielkie płachty płótna. Wkrótce usłyszała łopot materiału. Wyglądał na ciężki. Marynarze pocili się w słońcu, ciągnąc za liny ze wszystkich sił tylko po to, aby podnieść płótno kilka cali wyżej.

A więc na tym to polegało. Caitlin była pod wrażeniem ich

sprawności, jak gładko im to szło. Nie mogła uwierzyć, jak ta wielka, zatłoczona łódź poruszała się tak szybko, zwłaszcza wobec braku dobrodziejstwa w postaci nowoczesnego silnika. Zaczęła zastanawiać się, co pomyślałby kapitan tej łodzi, gdyby opowiedziała mu o silnikach z dwudziestego pierwszego wieku, o tym, jak o wiele szybciej mógłby dzięki nim podróżować. Pewnie pomyślałby, że zwariowała.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.